Nr. 59. Lwów, Niedziela dnia 13. Października 1878 r. **Tom VII.**



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
W e wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA
w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

ORŻNĄŁEM ŻYDA.

HUMORESKA

przez

AUTORA „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA".

W gabinecie, albo jak nazywają w kancelaryi pana Eustachego pali się suty ogień na kominku. Szanowny dziedzic Głębokiej z przyległościami i przynależnościami, chłop atletycznej budowy (proszę tylko wyrażenia tego nie brać w znaczeniu ubliżającem godności szlacheckiej pana Eustachego) stoi obrócony plecami do ognia w kusej szaraczkowej katance, ogromnie uszczęśliwiony, że miłe ciepło przechodzi mu po krzyżu. Co chwila, gdy buchający płomień za nadto mu dopiecze, pan Eustachy poruszywszy falowato plecami, postąpi krok na przód, i prawie zawsze trąci nogą rozciągniętego na podłodze Robinsona. Stary legawiec, jakkolwiek z ciężkim bolem serca, jednak musi ustąpić dziedzicowi, lecz tuż zaraz podkładając przednie łapy pod siebie lokuje się w takiej pozycyi, aby koniec jego nosa zwrócony był ku ognisku.

Prócz dobroczynnego ciepła zlewającego wesoły humor na oblicze dostojnego dziedzica Głębokiej, współdziałały w tym samym kierunku jeszcze dwie inne okoliczności. Pan Eustachy dopiero co palnął bernardyński kieliszek starki, a ta prawdziwie po staremu rozchodząc się po przedniej części osoby pana dziedzica, sprawiała ten sam skutek co płomień kominka w innej. Powtóre, nasz bohater był pod przyjemnem wrażeniem dopiero co, i to w kapitalny sposób zawartej umowy o sprzedaż wełny imci panu Goldgartowi z Szarego miasta.

Nie trzeba być Lawaterem, żeby ze śmiejących się cybulasto-wypukłych oczu pana Eustachego nie wyczytać jego myśli mniej więcej takiej: „ale też orżnąłem bestyą żyda, oj orżnąłem."

A ten w szczęśliwy sposób orżnięty Goldgart stał właśnie przy drzwiach nie opodal pana dziedzica z bardzo zakłopotaną miną; nie z tego, żeby miał pojęcie o samobójczem orżnięciu, lecz także z powodu spełnienia bernardyńskiego kieliszka starki, która musiała za nadto energicznie rozchodzić mu się po piersiach, bo w żaden sposób nie pozwalała ustami zachwycić powietrza.

Pan Eustachy od dwóch lat trzymał wełnę w lamusie, na którą nałożoną była ostateczna cena sto trzydzieści złotych za kamień. Ile tam już było kupców na ową wełnę w Głębokiej, to trudno spamiętać: I z Krakowa przyjeżdżali, i Niemcy się dopytywali i krajali wantuchy, próbowali, wąchali, szukali piasku, radzili, targowali a żaden nie chciał dać tej ceny. Szlachcic się uparł mości dobrodzieju sto trzydzieści jak bułka za grosz i sto trzydzieści.

— Zobaczysz panie Goldgart — mówił jeszcze przed miesiącem do tego samego, który się przy drzwiach krztusi — że ty dasz! — Ja cię wytrzymam, niecnoto... Nie bój się, mam ja także swój nos i czytam gazety z całego świata... Nie kręć głową, nie, bo ja ci powiadam, że się kroi na wojnę z Turkiem... Coś Prusaki kręcą się już za końmi, i wasi wąchają gdzie jest owies... Wierz mi, czuć proch w powietrzu, oj czuć!

— Ny, a co może mieć wojna do wełny?

— Co? A mundur bratku, a płaszcze, a spodnie? Ile to się tego namarnuje podczas wojny?

— Dziękować Bogu — odpowiada kupiec machając ręką — jest tego po wszystkich fortec pełne magazyny.

— No, no, wspomnisz moje słowa... wełna jak się ruszy do góry...

— Daj Boże, choć mnie się nie widzi...

— Ha, a nie ruszy — to będę czekał! Zgnije to zgnije, pal ją sześć, już taka moja natura...

Szczęściem, że pan Eustachy nie miał sposobności długiego doświadczania tej uporczywej natury, bo oto dziś po szabasie zaraz, przyjechał Goldgart i nie sto trzydzieści, ale sto trzydzieści pięć dał od jednego słowa, wyliczywszy tysiąc rubli zadatku. Jakże więc nie było go poczęstować prawdziwą starką i jak mu żałować suszonych śliwek na rożenkach, pomimo, że imość trzymała je tylko dla dystyngowanych gości, którzy się trafić mogą.

— Jaśnie panie — odzywa się przyszedłszy do głosu Goldgart — niech ja i pszenicę kupię?

— Ooo, poczekajno bratku — rzecze na to pan Eustachy odsuwając się znów na krok od kominka i tak samo utykając na Robinsonie — dajże mi po jednem odetchnąć.

— Niech jaśnie pan pamięta, co by ja był pierwszy, dam siedm rubli za korzec, jeżeli tego wiele nie będzie...

— Czysta jak szkło, mości dobrodzieju, kupiłem maszynę Pernoleta, która ci groszek co do jednego wybierze jak rękami, mości dobrodzieju...

Kupiec powtórzywszy swą prośbę o ową pszenicę, pozwolił sobie wziąć ze stołu jeszcze jeden rożenek ze śliwkami, dosiadł stojącego koło bramy wózka i ruszył z powrotem ku domowi. Pan Eustachy śmiejąc się w duchu z głupoty żyda, stał jeszcze przy kominku prowadząc wesołą rozmowę z Robinsonem, który za całą odpowiedź spoglądał miłosiernemi oczyma ku panu, i raz po razu uderzał ogonem o podłogę.

Była wtenczas jedenasta godzina rano, a do tego niedziela, więc szanowny dziedzic miał dość czasu na kalkulacyą, ile to będzie gotówki za ową wełnę, którą się najpilniejsze dziury załata... Wtem zda mu się spojrzeć ku bramie, jakiś powóz zaprzągnięty czwórką siwoszów, zakręca wprost na dziedziniec.

— Jak Boga kocham — myśli sobie — a to jakby do nas... ki dyabli tak siarczyście paradują...

Idzie tedy do okna, i poznaje, że to jego własny powóz, jego czwórka, którą pani Jadwiga, szanowna małżonka pana Eustachego, wyjechała wczoraj do siostry na dwa dni. Coś się stać musiało — myśli trochę przestraszony, zwracając ku drzwiom prowadzącym na ganek. Lecz nim się wygramolił, już sama pani owinięta ciepłą derową chustką na głowie pokazuje się w jego kancelaryi.

— A to co? — spyta rozwiązując jej z gracyą ową chustkę z tyłu głowy.

— Nic — przyjechałam.... Czegoż cię tak

dziwi moja niespodzianka, możebyś wolał, żebym jeszcze została, hę?

— Moje życie, gdzieżby tam, a i owszem, tylko myślałem, że jutro...

— Bo widzisz — mówi rozebrawszy się z futra i obcałowawszy po dwa kroć pana Eustachego, kiedy on osobą swoją zasłaniał resztki owych śliwek rozrzuconych na stole — wielka nowina.

— No, a cóż tam takiego? Czy Antoniowa ma znów co małego?

— Eh, głupstwa gadasz; tu o coś ważniejszego idzie — wiesz wełna podskoczyła w górę! Dziś rano przyjechał tam Mendel, który ma las na Porębie, że pisali mu z Wrocławia...

— Tam do licha! — rzecze na to skrobiąc się po głowie pan Eustachy — a ja właśnie tylko co sprzedałem.

— Komu?... za ile?

— Goldgartowi po sto trzydzieści pięć i porękawiczne... (Porękawiczne już dodał ze strachu pan Eustachy, aby tylko zmitygować trochę małżonkę).

— No widzisz, jaki to żyd oszust — wyrzekła z desperacyą pani Jadwiga załamując ręce.— A ja umyślnie tak leciałam, żeby cię uwiadomić... Miałam przeczucie jakieś, jak Boga kocham, tak mi coś szeptało: jedź i jedź, bo oni go tam złapią — i masz tobie, złapali!

— Eh, moja kochana — ofuknie już trochę zły pan Eustachy — tobie się zdaje, że wszyscy tylko mię łapią. Nie bój się, rano musi ten wstać, ktoby mię oszukał...

— No, a Goldgart?

— Prawda, że bestya żyd wstał raniej odemnie, ale nie bój się, ja jego zażyję tak,... no zobaczysz jak ja jego zajdę. .

— Pamiętasz, tyle razy ci mówiłam, odczep się od tego żyda, on cię zawsze okpiwa, bo to przebiegła sztuka, już mu to z oczu patrzy... Ale mój pan umie tylko się gniewać na mnie i wymyślać, że ja mam babski rozum, a u każdej baby to rozum krótki a warkocz długi... Otóż masz swojego Goldgarta... Straciliśmy pewnie z jaki tysiąc złotych... Widzisz, Eustachy, żebyś mię słuchał tak jak Antoni słucha Matyldy, to byśmy nie stali tak źle, jak stoimy. On powiada, że co rok kupi parę listów zastawnych z odłożonych pieniędzy, no i niczego sobie nie żałują, nie tak jak u nas, gdzie grosz grosza goni. — Ona i tyle konfitur smaży co rok i jakąś biżuteryą sprawi, a u nas jak przyjdzie kupić te kilka głów cukru na smażenie, to tyle bywa jęczenia, kwękania, jakbyś miał dobra kupować...

— No, no, no, nie spiewajże już tych gorzkich żalów, bo to się na nic zdało, i ja w imości spodnicy nie będę chodził... Niech sobie Antoni kupuje nie tylko listy zastawne ale i samych dyabłów, to ja się będę rządził swoim rozumem. Sprzedałem wełnę, bo dali drożej jak sobie postanowiłem i tak będzie. A co do Goldgarta, to swoją drogą tego oszukańca już do Głębokiej nie wpuszczę. Niech tylko zabierze wełnę, powiem huncwotowi, żeby tu twoja noga nie postała póki żyję, rozumiesz! psami wyszczuję! — jak Boga kocham, wyszczuję — krzyczy pan Eustachy kiwając palcem przed nosem małżonki, jakby tu stał sam Goldgart...

— A z pszenicą jak?

— Chciał kupić, dawał po siedm rubli... ale mię coś piknęło i nie sprzedałem...

— Cóż tu moje śliwki robią? — zapytuje w trakcie tego pani Jadwiga spostrzegłszy dwa rożenki leżące obok butelki z wódką.

— Daruj moje życie, ale na przekąskę...

— Może dla Goldgarta?...

— A jużciż... — odpowiada z zafrasowaną miną małżonek.

— Tego już za nadto, mój drogi — żebyś ty jeszcze żydów mojemi śliwkami karmił! — rzecze zarumieniona od gniewu, zbierając resztki. Ja chowam tę trochę, aby było podać gdy się kto trafi do śniadania, a ty wywłóczysz dla jakiegoś tam żyda oszukańca... No, powiedz, mój kochany, gdzież ty masz sumienie, gdzież jaki szacunek dla żony? Namęczę się, nakłopotam, aby przecie coś w domu było, a on sobie otwiera do kredensu i szafuje bez litości... Eustachy, wstydź się! — kończy ocierając łzy z oczów.

— Jagusiu, serce moje — przepraszam cię... cóż tam tę trochę śliwek... głupstwo.

— Tak, u ciebie to wszystko głupstwo: śliwki nic, wełna nic, żona nic tylko Goldgart! Bo panu się nie chce wyruszyć z domu, nie chce się pojechać na targ i zobaczyć jak też tam ludzie sprzedają, a tylko co łaska pana Goldgarta... Dlaczegoż to Antoni ani jednego korca zboża nie sprzeda w domu, ale wszystko każe wieść do miasta i sam stoi przy furze?

— Ja takim nie był i nie będę...

— U ciebie zawsze ta sama odpowiedź, aby mi tylko na złość robić... Piękna wdzięczność po trzydziestu latach małżeństwa! Dla tego też niechby Maryni się kto trafił, toby na wyprawę i grosza nie było...

— Dyabli się tam trafią? — odrzeknie zakłopotany pan Eustachy pocierając czupryny.

— Trafiłby się, żeby co było dać za nią, nawet ten Filipkiewicz uważałam, że...

— Doskonale zajada twoje śliwki i konfitury — wtrąca pan Eustachy...

— Przyznam się, że wolę niech on zjada, aniżeli Goldgart...

— Moja kochana, dajże mi już pokój z tym Goldgartem! Goldgart i Goldgart, straszne rzeczy, jak wy lubicie być uparte na jednym punkcie?

— Bo ja chcę, żebyś z nim zerwał.

— No zerwę, powiedziałem, że zerwę.

— Jak mię kochasz?

— Jak cię kocham...

— No, to pocałujże mię stary i nigdy nie sprzedawaj bezemnie, bo widzisz i kobiecy rozum czasami na co się przyda... A śliwki, to zapowiadam ci, będą tak schowane, że ich więcej nie znajdziesz... (C. d. n.)

RZECZ O POJEDYNKU

przez

DRA JÓZEFA ROSENBLATTA.

II.

(Pogląd historyczny na początek i rozwój pojedynków. Historya pojedynku we Francyi.)

(Ciąg dalszy).

Dopiero od czasu, kiedy Ludwik XIV. ujął wodze rządu silną swą dłonią, pojedynki zaczęły stawać się rzadsze; poznał bowiem Ludwik, że surowe edykta same przez się wytępić pojedynków nie są w stanie, że należy działać przeciwko nim nie tylko wydawaniem surowe kary zagrażających edyktów, ale i w innej drodze nie ustawodawczej, tj. przez wpływ na opinią publiczną, dla tego utworzył on najpierw na dworze swoim w roku 1651 ligę przeciw pojedynkom, której członkowie zobowiązali się nigdy pojedynków nie przyjmować, ani wyzwań nie wysyłać. Na czele ligi tej stanął słynny Fenelon, a członkowie jej podpisali potwierdzone przez króla i marszałków Francyi oświadczenie następującej osnowy: „Podpisani czynimy niniejszym aktem publiczne i uroczyste oświadczenie, iż nie przyjmiemy żadnego wyzwania na pojedynek i nie będziem staczać pojedynku dla żadnego powodu, że dalej zawsze okazywać będziemy, iż potępiamy pojedynek jako rzecz przeciwną rozumowi, obyczajom i religii. Nie zrzekamy się jednak przez to prawa odparcia wszelkich krzywd drogą prawną i jesteśmy zawsze gotowi tym, którzy sądzą, że doznali od nas urazy, dać zadośćuczynienie (wytłumaczyć nieporozumienie), a nie dawać zaś nikomu powodu do takowej.“

Deklaracyą powyższą podpisała wielka część szlachty francuskiej, co więcej przyczyniło się do zmniejszenia liczby pojedynków, aniżeli surowe ale nie wykonywane edykta. Jednakowoż i ustawodawstwo o pojedynku uległo za Ludwika ważnym i nader odpowiednim zmianom. Poznawszy bowiem, że ażeby zmniejszyć liczbę pojedynków, należy dać inne odpowiednie wobec opinii publicznej wystarczające zadośćuczynienie za krzywdę na honorze, Ludwik XIV wydał w roku 1679 słynną ustawę przeciw pojedynkom znaną pod nazwą „edyktu przeciw pojedynkom“ par excellence, w której ustanowił do rozstrzygania spraw honorowych stałe trybunały honorowe, nadając im daleko sięgającą jurysdykcyą i prawo wyrzekania surowych kar za obrazę. Jurysdykcyi trybunałów tych, które orzekały w sprawach o obrazę i o pojedynek, podlegała cała szlachta i wojskowi wyższego stopnia i to nie tylko poddani francuscy ale i obcokrajowcy we Francyi przebywający. Każdy, który dowiedział się o jakiemkolwiek poróżnieniu, któreby mogło dać powód do pojedynku, o wystosowanem wyzwaniu lub umówionym pojedynku, obowiązany był donieść o tem natychmiast rzeczonemu trybunałowi. Trybunał wzywał przed siebie strony, a jeśli zachodziła obawa, że strony powaśnione stoczą pojedynek, mógł stawić je pod dozór przydanej im straży lub nawet zarządzić areszt aż do rozstrzygnienia sprawy. Wyrok mógł skazywać tego, który skrzywdził drugiego na honorze na znaczną karę, bo od miesiąca aż do 4ech lat więzienia, w miarę wyrządzonej krzywdy; a nadto zarządzić mógł trybunał (złożony z marszałków Francyi) zadośćuczynienie, tj. odwołanie obrazy przez obrażającego wobec trybunału i przyjaciół obrażonego.

Tak więc karząc dotkliwie obrazę honoru Ludwik zamierzył również działać przeciw pojedynkom. Ażeby wreszcie i ze swej strony wpłynąć na opinią, oświadczył król na wstępie do rzeczonego edyktu, że tego, który nie będzie mieć dosyć odwagi, ażeby zwalczyć przesąd t. zw. punktu honoru, uważać będzie nie tylko za zbrodniarza, ale za tchórza bez odwagi, tego zaś który wyzwania odmówi, za człowieka dowodzącego odwagi, godnej nagrody.

O skuteczności przedsięwziętych przez Ludwika XIV środków świadczy okoliczność, że odtąd za panowania Ludwika XIV zwyczaj pojedynków prawie całkiem ustąpił. Ale za następców jego przytłumiony przez czas jakiś przesąd odżył tem gwałtowniej, znów pojedynki ty-

siączne pochłaniają ofiary, znów pojawiają się edykta surowe przeciw pojedynkom (w r. 1723) lecz nigdy niewykonywane, znów nie mija dzień w Paryżu bez krwawego zajścia.

Tak miała się rzecz w okresie trzecim do roku 1789.

Z powyższego poglądu a mianowicie z tak częstego powtarzania się edyktów przeciw pojedynkom, widoczną jest, że wydawane i ustawicznie ponawiane edykta żadnego nie odnosiły skutku, że po kilku latach już w zupełne poszły zapomnienie, że w skutek częstego ułaskawiania pojedynkujących się zapomniano o surowych karach za pojedynek, zapomniano w ogólności, że pojedynek jest zbrodnią surowo karaną i wyrobiła się powoli owa opinia dotąd we Francji tak powszechna, która w pojedynku nie widzi przestępstwa, lecz uważa go owszem za jedyny i konieczny środek rozstrzygania spraw honorowych. A nie małą w tem winę ponoszą królowie francuscy, którzy nie tylko ułaskawiali tych, których surowo karać należało, ale sami jawnie sprzyjali pojedynkowi, zwłaszcza, odkąd pojedynek przestał być zbrodnią majestatu, zagrażającą powadze władzy królewskiej, a uważany był jedynie za sprawę prywatną.

Taki stan rzeczy zastała rewolucya francuska, lecz dziwna zaiste rzecz, rewolucya, króra tyle przesądów, tradycyi i zwyczajów starej i zbutwiałej monarchii francuskiej obaliła, pojedynków usunąć nie była w stanie! Przesąd pojedynków przeżył starą monarchią, przetrwał rewolucyą! Ustawodawstwo z czasów rewolucyi milczy zupełnie o pojedynku. Była rzecz o pojedynku wprawdzie poruszaną kilkakrotnie w ciałach prawodawczych, wniesione były nawet różne projekty ustaw przeciwko pojedynkom, tak między innymi wniesiono projekt, ażeby pojedynkujących się uważać za pozbawionych rozumu, ażeby ich w stroju błędnych rycerzy średniowiecznych wystawić na pośmiewisko publiczne a następnie zamknąć na 2 lata w domu waryatów, ale uchwały żadne nie zapadły, bo miano nadzieję, że pojedynki znikną same bez ustaw skutkiem oświaty i wolności; nadzieja, która niestety zawiodła.

W skutek braku ustaw przeciw pojedynkom, pojedynki też w okresie tym, jeśli były stoczone z zachowaniem reguł tradycyjnych lub omówionych, karze nie ulegały, tłumaczono bowiem milczenie ustawodawstwa w ten sposób, że ustawodawca uwzględniając opinią publiczną, uważa pojedynek za rzecz dozwoloną, a więc za niekarygodny; a gdy i kodeks napoleoński z r. 1810 zachował milczenie o pojedynku, przeto opinia powyższa utrzymała się aż do roku 1837, t. j. aż do słynnego orzeczenia trybunału kasacyjnego w Paryżu z r. 1837, zapadłego w skutek wystąpienia prokuratora jeneralnego Dupin, a uznającego pojedynek za karygodny na mocy powszechnych przepisów karnych, wydanych przeciw morderstwom i zabójstwom. Tak więc od rewolucyi aż do roku 1837, a więc prawie przez lat 50, trwał okres bezkarności pojedynku, okres, w którym oceniano jedynie, czy zachowano przy pojedynku prawidła pojedynkowe, do ułatwienia której to czynności wydano nawet w r. 1836 kompletny kodeks reguł pojedynkowych w dziele Chateauvillar da „Essai sur le duel“ (Paris 1836) zawartych, często przez pojedynkujących się powoływanych. „Był to dzień pamiętny w rocznikach sądownictwa francuskiego — powiada *Cauchy* — kiedy trybunał kasacyjny za inicyatywą swego prokuratora jeneralnego przystąpił na nowo do rozbioru kwestyi karygodności pojedynku. Prokurator jeneralny, *Dupin*, wystąpił bowiem — przy sposobności kiedy trybunał kasacyjny rozbierał zażalenie wniesione przeciwko wyrokowi trybunału pierwszej instacyi, który uwolnił oskarżonego o zabójstwo dokonane w pojedynku od oskarżenia, dlatego, że ustawa pojedynku nie karze, z zdaniem, że pojedynek należy karać po myśli ustawodawcy na mocy ustawy powszechnej i uzasadniał mianowicie zapatrywanie się swoje w sposób następujący: „trybunał kasacyjny — rzekł — sam kilkakrotnie oświadczył, że pojedynek sprzeciwia się religii i moralności i narusza w wysokim stopniu porządek publiczny. Czyż to nie wystarczy do udowodnienia, że umowa o pojedynek jest nieważną i nieistniejącą wobec ustawy. Dlaczegożby więc sprawiedliwość nie uznająca tej niemoralnej umowy miała widzieć w niej okoliczność zmieniającą charakter zabójstwa? Ustawodawstwo o pojedynku — wywodził dalej *Dupin* — miało na celu jedynie surowsze ukaranie pewnych gatunków zabójstwa, polegało jednak zawsze na owej ogólnie obowiązującej ustawie: „nie będziesz zabijał.“ Zabójstwo i uszkodzenie cielesne były zbrodnie niezależne wcale od edyktów przeciw pojedynkom; popełniane przez nieszlachciców karane były według prawa powszechnego, pojedynki zaś staczane pomiędzy szlachtą rozporządzenia królewskie karały surowiej jedynie z powodu pewnych okoliczności obciążających z pojęciem pojedynku związanych, ale edykta nie stworzyły wcale zbrodni pojedynku. Cóż więc zostało zniesionem ustawą z roku 1791? — Wyjątek, ale nie reguła, — zniesiono ustawę obejmującą pojedynki uprzywilejowane, ale nie prawo powszechne. Abrogacya ta nie sprawiła zatem wyłomu i luki w ustawodawstwie naszem, lecz uczyniła zastósowanie onegoż powszechnem, a choć znikł pojedynek jako przestępstwo kwalifikowane, definicya morderstwa pozostała w kodeksie jako typ nienaruszony, z którym wystarczy zestawić każdy fakt zabójstwa, a stanie się natychmiast karygodnym.“

Dupin zbija dalej w wywodzie swoim przytaczane w obronie bezkarności pojedynku argumenta, jakoby mianowicie umowa wyprzedzająca pojedynek, równość broni, obrona konieczna i t. d. uzasadniały bezkarność pojedynku i żąda wreszcie uznania jego karygodności na mocy prawa powszechnego.

Trybunał kasacyjny uznał wywody prokuratora jeneralnego za szłuszne, zniósł orzeczeniem z 22 czerwca 1837 wyrok trybunału pierwszej instancyi i uznał pojedynek za karygodny jako przestępstwo przeciw bezpieczeństwu życia i ciała skierowane t. j. jako zbójstwo, uszkodzenie cielesne i t. d. Odtąd zatem zmieniła się jurysprudencya i rozpoczął się nowy okres pojedynku we Francyi.

W latach następnych wniesiono kilkakrotnie projekty ustaw przeciw pojedynkom, ale żadnej ustawy dotąd nie uchwalono. Ostatni projekt wniesionym został w Senacie przez senatora Herolda w roku 1877, ale i ten dotąd przyjętym nie został.

Tak przedstawia się nam historja pojedynku we Francji.

W przyszłym rozdziale skreślimy historyą pojedynku w innych krajach europejskich.

(C. d. n.)

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

XIII.

Jak pożar po dachu wysuszonym długiemi upałami, tak wiadomość o pojedynku z szaloną szybkością rozniosła się po wszystkich zakątkach zdrojowiska. Było to prawdziwe żniwo dla języków spragnionych nowinek. Dotąd czynność ich ograniczyła się na powszedniem obrabianiu wzajemnem drobnych przywar i śmieszności bliźnich, wyśmiewano się z tej pani za krzywą łopatkę, z tamtej za jaskrawą i przesadną toaletę, gorszono się i oburzano na jedną, że chodzi sama po lesie, na drugą znowu, że nie sama, kontrolowano się wzajemnie co kto je, jak długo spi, wiele wydaje, dowiedziano się od służących o tajemnicach domowych i bawiono się tem o ile się dało. W ostateczności obmawiano nawet pogodę, narzekano to na zbytnie upały, to na słotę, ot, aby czas zabić. Dopiero ostatnie chwile dały naraz tyle przedmiotów do mówienia, że niepodobna było nawet przetrawić tego wszystkiego należycie. Już zjawienie się rodziny Nadermanów rozruszało trochę umysły, ciekawość nie pozwoliła spocząć, dopóki się nie dowiedziano kto to, po co tu przyjechał, jakie jego stosunki majątkowe. Przybycie trzech konkurentów jednego po drugim dało także nie mało do mówienia, szczególniej mamy, które w intencyi wyleczenia córek z zastarzałej choroby staropanieństwa poprzyjeżdżały tutaj, nie mogły darować tego bankierównie, że ich miała aż trzech, podczas kiedy ich córki poprzestawać musiały na żadnym. Ale najwięcej przysporzyły towarzystwu kąpielowemu tematów do rozerwania się ostatnie wypadki: bal, na balu skandal, po balu pojedynek, ba może nawet dwa pojedynki i jakaś sprawa kryminalna. Było o czem mówić doprawdy. To też w zdrojowisku wrzało jak w ulu. Każda pszczółka przynosiła jakąś nową nowinkę, a przynajmniej dodatek do nowinki. W ciągu paru godzin wiedziano już wszędzie że jeden z konkurentów panny Naderman jest synem kryminalisty, złodzieja czy też rozbójnika, że z tego powodu nie będzie pojedynku między nim a owym przystojnym panem Adolfem, ale natomiast ten pan Adolf będzie się bił z owym eleganckim garbuskiem o obrazę honoru, i to niezadługo.

Tylko Jan nie wiedział o niczem, cały bowiem ten dzień nie wychodził z domu. Znajdował się w stanie jakiejś umysłowej bezwładności, która udzieliła się ciału. Siedział całemi godzinami przy oknie wpatrując się obojętnie w zasępione niebo. I w jego duszy było tak samo bezbarwnie, szaro, nudno. Życie wydawało mu się jałowe, jak te pagóry nieurodzajne, które roztaczały się przed jego okiem, pofalowane niby morze bezbrzeżne; nigdzie punktu oparcia, nigdzie nic, coby myśl zająć mogło. Zapadający zmierzch nadawał jeszcze więcej monotonności krajobrazowi i powiększał jego melancholią. Nic go nie bawiło, nie ożywiało, umysł jakby stępiony, słabo od-

*

czuwał wrażenia minione, a w przyszłości nie widział nic przed sobą. Nawet o pojedynku, który go czekał, myślał z obojętnością, bez najmniejszego wzruszenia. Był to letarg duszy zwyczajny u tych, dla których życie straciło urok, którzy przestali się spodziewać czegoś.

Wieczorem przyszedł do niego aptekarz.

— I cóż — spytał Jan obojętnie — przystał?

Aptekarz był w kłopocie, co powiedzieć. Wśród ciemności, jaka panowała w pokoju, Jan nie mógł widzieć pomięszania na jego twarzy i zdziwiony milczeniem powtórzył pytanie.

— Zdaje się, że do pojedynku nie przyjdzie — odrzekł po chwili przybyły.

— A więc wytłómaczył się? W jaki sposób?

— To co powiedział o zmianie nazwiska, odnosi się właściwie więcej do ojca pańskiego niż do pana.

— Więc ojciec mój miał zmienić nazwisko? Nie nazywa się Leszczyc.

— Tak on utrzymuje.

— I do niego ma się odnosić ta jakaś tam sprawa kryminalna? — spytał Jan drwiąco. — Czy wytłomaczył wam, co to ma znaczyć?

— Tego nie wytłomaczył nam dokładnie — mówił niby coś o przeszłości, o jakiemś nadużyciu zaufania, jakiego się twój ojciec niby miał dopuścić...

— Podlec! kręci jak może, by wykręcić się od pojedynku, którego się boi. Podstawianiem ojca mego, chce przewlec sprawę; ale to mu się nie uda. Dziś jeszcze napiszę do ojca mego, aby albo listownie zadał kłam temu, albo jeżeli może sam przyjechał. Zrobi to z pewnością, gdy mu napiszę, że tu idzie o nasz honor. A wtedy zobaczymy, czy potwarca będzie miał bezczelność powtórzyć mu to w oczy.

Aptekarz miał zamiar z początku radzić Janowi, aby zaniechał tego kroku i nie mięszał w tę sprawę ojca; chciał przedstawić Adolfa jako człowieka, na którego gadanie nie warto zważać. Chciał to zrobić, by oszczędzić synowi boleśnego rozczarowania, gdyby w istocie stary Leszczyc był winnym, co było dosyć prawdopodobnem. Ale wnet przyszło mu na myśl, że może akta kryminalne odnoszą się do kogo innego tego samego nazwiska, że może stary Leszczyc, który w latach, kiedy ów proces się odbywał, był właśnie we Lwowie, będzie mógł najlepiej wyjaśnić to nieporozumienie. Dlatego też milczeniem zgodził się na napisanie listu do niego.

— A gdzie Leon? — spytał Jan po jakimś czasie. — Czy nie przyjdzie tutaj?

— Leon zajęty, ma jakieś ważne pisanie i został w domu.

Janowi wystarczało zupełnie to wyjaśnienie, a aptekarz nie kwapił się powiedzieć mu więcej. Zrobił to na wyraźne żądanie Leona, który nie chciał, aby Jan dowiedział się o pojedynku i o powodach, które go skłoniły do tego, aż gdy się już wszystko skończy.

Pojedynek bowiem miał rzeczywiście przyjść do skutku, pomimo tchórzostwa Adolfa. Zniewaga była publiczną, schować jej do kieszeni nie można było, nie było także żadnego powodu, którym możnaby maskując wrodzone tchórzostwo wycofać się z honorem z tej sprawy; wszyscy znajomi Adolfa jednogłośnie orzekli, że bić się powinien. Sekundanci, pomiędzy którymi znajdował się także aptekarz ze strony Leona, ułożyli między sobą warunki i naznaczyli pojedynek na drugi dzień rano, o pół mili ztąd w ruinach starego zameczyska. Pojedynkujący się dla wzajemnego uwolnienia się od odpowiedzialności przed prawem mieli wygotować własnoręczne przyznanie się do samobójstwa, na przypadek, gdyby rzeczywiście pojedynek miał się skończyć śmiercią którego z nich.

Pismo to było powodem, że o mało projekt pojedynku nie rozchwiał się, na żaden bowiem sposób nie można było nakłonić Adolfa do napisania tego strasznego cerografu. Zasłaniał się naprzód tem, że za nic w świecie nie chciałby uchodzić za samobójcę i kompromitować w ten sposób swój ród, że wreszcie przekonania religijne jego nie pozwalają mu na takie ohydne kłamstwo. Gotów był nawet po chrześciańsku przebaczyć winę Leonowi i nie gniewać się wcale o obrazę, jaka go spotkała. Ale sekundanci Leona oświadczyli w jego imieniu, że tylko wtedy odstąpią od pojedynku, jeżeli Adolf publicznie przeprosi Jana i odwoła to, co o nim powiedział.

Na to Adolf mimo najlepszych usposobień do zgody przystać nie mógł, chrześciańska jego miłość bliźniego i przebaczenie uraz ograniczało się tylko na Leonie, nie mógł uczucia tego rozszerzać aż do takich rozmiarów, aby niem objąć także człowieka, który mu w drogę wchodził w jego matrymonialnych przedsięwzięciach. Zresztą jak można było odwoływać to, na co miał dowody w ręku, zdrowa logika sprzeciwiała się temu, jak również wszyscy znajomi jego.

Trzeba się tedy było bić koniecznie, nie było rady na to. Adolf w śmiertelnej trwodze przepędził noc całą, szukając pomocy w modlitwie, gdy ludzka pomoc nic mu tu pomódz nie mogła. Poodmawiał wszystkie modlitwy, jakie sobie tylko mógł przypomnieć, adresując je do najrozmaitszych świętych, o których wstawieniu się i cudach w podobnych wypadkach czytał lub słyszał kiedy, powyciągał z kuferka jakieś szkaplerze poświęcane, nie gardził nawet zabobonnemi przesądami ludu i wszelkie środki zabezpieczające od śmierci o jakich mu niańka nieraz mówiła, zaaplikował dla siebie. W końcu nie zapomniał także o fizycznych sposobach ochrony życia. Wdział aż dwa jedwabne kaftaniki, bo słyszał, że jedwab z trudnością przebija kula, dla większej pewności wpakował jeszcze między nie trochę waty. Pod kamizelką na piersiach umieścił aż trzy książki do nabożeństwa, które miały mu być puklerzem i moralnie i fizycznie.

Głowy nie podobna już było w ten sposób ochronić, to też asekurował ją tylko duchownemi środkami, odmawiając po kilkakroć: kto się w opiekę podda Panu swemu. Adolf poddawał się z całem poddaniem pod tę opiekę i całem sercem ufał, a przynajmniej wmawiał w siebie, że ufa i udawał jako tako odwagę. Ale kiedy przyszła stanowcza chwila i sekundanci z pistoletami zjawili się rano w jego mieszkaniu, pomimo wszystkich środków zabezpieczających, tak stracił odwagę, że w żaden sposób nie można go było nakłonić do ubrania się nawet, nie dopiero do pojedynku. Trząsł się cały tak, że kilka minut potrzebował czasu zanim trafił ręką do rękawa surduta, który mu trzymał jeden z sekundantów. Zaczęły mu przychodzić różne skrupuły sumienia, między innemi przyszedł mu na myśl stryj jego, o którym zwykle nigdy nie myślał, gdy go nie widział, a widywał go bardzo rzadko i począł desperować, że osieroci tego starca śmiercią swoją i wielu innym osobom zada tem cios bolesny. Już niby nie szło mu o siebie ale o drugich, i taka troskliwość o najdroższych, których liczba w tej chwili urosła nadzwyczajnie w jego sercu, tak się coraz więcej wzmagała, że w ostatniej chwili chciał się cofnąć, zamiast do ruin zamku wyjechać coprędzej do najbliższej stacyi kolei i wyrzec się wszelkich pojedynków, awantur a nawet ręki Julii, która go na tyle nieprzyjemności narażiła. I byłby może dotrwał w tem przekonaniu, gdyby sekundanci nie byli go przekonali, że choć dla formy pojedynek odbyć się musi i to nie na prawdziwe kule, ale ulepione z prochu.

I to jeszcze nie dodało mu wiele odwagi, bo kiedy stanął na placu boju oko w oko z Leonem, który był jakoś niezwyczajnie blady i groźnie, poważnie patrzał, nawet na prochowe kule, bał się z nim strzelać mając zapewne na uwadze przysłowie, że jak Pan Bóg dopuści to i z kija wypuści. Litość brała patrzeć na niego, jak stał na miejscu, na którem go sekundanci ustawili. Zdawało się, że to manekin, z którego wyjęto kij, na którym się utrzymywał prosto i że lada chwila upadnie.

Rozpoczęcie pojedynku przewlekło się w skutek jakiegoś nieporozumienia między sekundantami, którzy coś żywo zaczęli rozprawiać ze sobą. Z ruchów ich poznać można było tylko tyle, że sekundanci Leona sprzeciwiali się czemuś gwałtownie. Jeden z nich w czasie tej rozmowy przybiegł do Leona i szepnął mu coś do ucha. Garbusek zmarszczył wyniośle czoło, wstrząsnął głowę przecząco i rzekł ostro:

— Nie przystaję. Nie gramy komedyi.

Adolf nic tego wszystkiego nie widział, nie słyszał, stracił zupełnie przytomność, świadomość siebie, tylko machinalnie, pospiesznie odmawiał myślą wszystkie modlitwy: w chwilach niebezpieczeństwa, w czasie choroby, śmierci, nawet modlitwy za drogą sercu osobę, rozumie się, że pod tą drogą osobą rozumiał w tej chwili siebie. Wyglądał jak lunatyk recytujący co mu się kiedykolwiek na pamięć nawinęło i miał minę tak pocieszającą, że Leon uśmiechnąć się musiał spojrzawszy na niego; pomimo całej powagi jaką nakazywała sama czynność, do której się zabierali, nie mógł się wstrzymać od tego. Kiedy mu podano pistolet do ręki, wzdrygnął się cały, a potem machinalnie, bezwładnie podniósł go do góry, i nie czekając na znak sekundantów wystrzelił i równocześnie ze strzałem przewrócił się. Ale i Leon upadł także, ten już nie z przestrachu; kula przebiła mu pierś poniżej obojczyka po lewej stronie. Sekundanci jego wraz z doktorem przybiegli na ratunek. Rana szła na wylot przez płuca, bo przy każdym oddechu wypluwał krew. Wszyscy byli przerażeni i oburzeni tym wypadkiem, a oburzenie ich było tem większe gdy widzieli minę Adolfa pełną arrogacyi; tchórz nagle wyrósł na bohatera, gdy widział, że niebezpieczeństwo już minęło i to, co zdzia-

łał ślepy traf, przypisywał zarozumiale własnemu męztwu. Był tak uradowany, że mu się udało wyjść cało, a co więcej, zwycięzko, z tego wypadku, że nie umiał pokryć radości choćby pozorami współczucia dla swego przeciwnika. To też jeden z sekundantów Leona nie mogąc znieść tak nieszlachetnego znalezienia się, podszedł ku niemu i rzekł ze wzgardą:

— Jeżeli pan sądzisz, że to był pojedynek, to się grubo mylisz, to było poprostu zabójstwo.

— Mój panie — odrzekł Adolf tonem wyniosłym, odpowiadającym roli zwycięzcy, którą się przejmował coraz więcej — stawałem w obronie mojego honoru. A jeżeli pan masz co przeciw temu, proszę przysłać swoich sekundantów.

— Powodzenie tak zrobiło go odważnym, że gotów był teraz pojedynkować się z całym światem.

— A więc dobrze — odezwał się prędko sekundant biorąc go za słowo. — Zobaczymy się niezadługo. — To powiedziawszy odszedł w stronę, gdzie doktor i aptekarz zajęci byli ratowaniem Leona.

Adolf tymczasem wracał z miną tryumfatora do zakładu. Choćby był nic nikomu nie mówił, z twarzy jego można było dowiedzieć się o rezultacie pojedynku. Bliższe szczegóły opowiadali sekundanci swoim znajomym, rozumie się w tajemnicy największej. W pół godziny tajemnica stała się publiczną, i wiele osób znalazło się niby przypadkiem koło domu, w którym mieszkał Leon, oczekując przywiezienia trupa, bo już za takiego podała go pogłoska. To też nie małe było zdziwienie, gdy ujrzano nieboszczyka, wychodzącego z powozu. Wprawdzie mało co lepiej wyglądał od tych, których do trumny kładą, bo twarz była kredowej białości, i szedł tylko z pomocą doktora i aptekarza, którzy go trzymali prawie na rękach; ale jak na nieboszczyka to i to było dosyć zadziwiające. I znowu rozeszła się druga pogłoska przecząca śmierci, która zanim doszła do drugiego końca zakładu, głosiła już, że Leon wrócił z pojedynku zdrów zupełnie, w doskonałym humorze, że mu nic nie będzie.

Tymczasem ranny, zaledwie go wprowadzono do pokoju, omdlał z osłabienia i krew powtórnie rzuciła mu się przez usta. Doktor zajął się ratowaniem; ale z twarzy jego zakłopotanej widać było, że nie wiele miał nadziei, chory coraz bardziej opadał z sił i ziębnął.

Na to wszedł Jan. Był mocno wzruszony, a gdy zobaczył Leona w takim okropnym stanie struchlał z przerażenia.

— Leonie, co ty zrobiłeś? — spytał biorąc go żywo za rękę. Ale doktór odsunął go zwracając uwagę, że zbytnie wzruszenie może choremu zaszkodzić. Odszedł więc na bok do aptekarza, który stał pod oknem zafrasowany i odezwał się do niego po cichu tonem wyrzutu:

— Pan wiedziałeś o wszystkiem, dlaczego taiłeś to przedemną.

— On sobie tak życzył — odrzekł na swoje usprawiedliwienie.

Niezadługo wyszedł doktor obiecując wrócić za godzinę. Po jego wyjściu chory odezwał się słabym głosem:

— Czy jest Jan? — a ujrzawszy go zbliżającego się, spojrzał przyjaznym wzrokiem i rzekł:

— Gniewasz się, że ci wypłatałem figla i schwyciłem kulę, co była dla ciebie przeznaczona? Widocznie jesteś potrzebniejszy na świecie. Masz ojca, matkę i tę, tę z czarnemi oczami, pamiętasz? tę, którą widziałem u ciebie. Powiedz jej, że ja, ten garbusek, którego wtedy widziała, a może nawet nie widziała wcale, tak była tylko tobą zajęta, ale to nic, powiedz jej, że ja darowałem jej twoje życie. Ona warta tego, wierz mi. Ona cię kocha. Po mojej śmierci....

— Leonie, nie mów tego — zawołał Jan boleśnie — ty nie umrzesz, bo ja bym sobie nigdy nie przebaczył, że z mojej przyczyny — nie dokończył i rozpłakał się głośno.

— Nie żałujcie mnie, mnie nie było tak wesoło na świecie, jak się wam zdawało. Wyście sądzili, że pomiędzy garbami serce siedziało spokojnie jak ślimak w skorupie? O nie? ono tłukło się niespokojnie, i cierpiało nieraz. — Wziął Jana za rękę, przyciągnął ku sobie i mówił ciszej:

— Dowiedz się, że ja ją kochałem, tę wietrznicę bez serca, Julią. Rozumiesz teraz, co musiałem przecierpieć? Kochałem i gardziłem zarazem, nie mogłem nie kochać nawet nie kochany, tak głęboko ta miłość wlazła między żebra. Prawda, że to śmieszne?

Chwilkę odpoczywał zmęczony, potem mówił dalej:

— Uciekaj ztąd, bo się spalisz jak komar w płomieniu świecy. Wracaj do tamtej. Pamiętaj Janie, co ci mówię, że tamta warta twojej miłości.

Mówił z przerwami, bo oddech stawał się coraz krótszy, krew zaczęła znowu buchać ustami. Otworzył jeszcze raz przygasłe oczy a zobaczywszy aptekarza, który stojąc przy nim, krzywił niemiłosiernie twarzą i nasrożył się, by się tem obronić od płaczu, rzekł do niego:

— Nie będziemy już grywać w szachy. Dostałem mata od głupiego pionka.

Uśmiech przebiegł po jego białej twarzy, jak wiatr po wodzie i z tym uśmiechem zastygnął.

Baronek w zastępstwie Nadermana, który, jak wiemy, był krewnym Leona, zajmował się przygotowaniami do pogrzebu. Z równą skwapliwością wziął się do tego, jak do urządzania balu. Wazony z kwiatami, które przed kilkoma dniami patrzały na wirujące pary, poustawiano teraz koło trumny. Nieboszczyk był ubrany całkiem po balowemu, że mógłby zbudzony muzyką od razu puścić się w taniec. Najęto kilku fagasów w bawełnianych rękawiczkach do obsługiwania umarłego, który za życia obchodził się jednym służącym. Muzyka uczyła się na gwałt marszów pogrzebowych, i sproszono kilku księży z okolicy, bo bankier życzył sobie, aby pogrzeb odbył się wystawnie.

Jan dowiedział się, że zaraz po pogrzebie Nadermanowie mieli wyjechać. Zmartwił się bardzo tą wiadomością. Nie szło mu o Julią, nie myślał nawet o niej teraz; ale o Adolfa. Był przekonany, że będzie chciał odjechać razem z nimi, a on nie mógł zatrzymać go dla pojedynku, bo ojciec ani nic nie odpisał, ani sam nie przyjeżdżał. Niecierpliwiło go to wielce; bał się, by ojciec nie przyjechał za późno i z tej obawy wyspowiadał się raz przed aptekarzem.

— Więc i pan chcesz się bić jeszcze? — spytał go tenże opryskliwie.

— Mam teraz więcej, niż przedtem powodów — odparł Jan — bo winienem nie tylko bronić swego honoru, ale pomścić także śmierć Leona.

— Piękna będzie pomsta, jak ci wpakuje kulę w brzuch. Jestem pewny, że tak się stanie, bo fuszery mają zwykle szczęście.

— Krew oczyszcza honor.

— Tak, ocalisz pan honor, a zabijesz matkę. Pfe! te wasze pojedynki, z których największy łotr, jak ma celne oko lub szczęście, wychodzi cało. Piękna mi sprawiedliwość. Zresztą — dodał żywo — pan nie masz prawa bić się.

— Dlaczego? — spytał zdziwiony Jan.

— Nie słyszałeś pan, co powiedział Leon, że życie twoje darował pannie Amelii. Nie masz więc prawa rozporządzać tem, co do ciebie nie należy; inaczej nazwę cię...

Chciał powiedzieć: złodziejem i zatrzymał się, bo zdawało mu się, że nazwa podobna choć wypowiedziana z dobrego serca i niby żartem mogła go obrazić. Było to zbyt drażliwe przypomnienie kwestyi, o którą właśnie sprawa się toczyła. Ale Janowi ani na myśl to nie przyszło i całkiem spokojnie odpowiedział mu:

— Nazwij sobie pan to, jak chcesz — ja bić się muszę — i będę.

— To szukaj sobie pan innego sekundanta, bo ja do tego ręki nie przyłożę. Ja nie oprawca, żebym miał asystować egzekucyom.

W rubasznym i gwałtownym tonie jego mowy czuć było tyle serca i życzliwości, że Jan uścisnął go przyjaźnie za rękę i rzekł:

— Ale mimo to zostaniemy nadal przyjaciółmi.

— Pod warunkiem, że się pan ożenisz z panną Amelią.

Jan spoważniał na to wspomnienie i zasępił się. Drugi to już raz wspomniano wobec niego nazwisko osoby, o której chciał był całkiem zapomnieć, wspominali je ludzie, których uważał za najlepszych przyjaciół swoich, a wspominali je z szacunkiem i życzliwością. I on sam przyznać im musiał w duszy, że mieli słuszność w tem, co mówili o niej, a jednak na myśl, że to córka złodzieja, wspomnienie to było mu przykrem. To też milczeniem zbył odezwanie się aptekarza i nie zadługo pożegnał go może głównie dla tego, by nie mówić z nim więcej o Amelii.

W dzień pogrzebu Leona przyjechał ojciec Jana. Był to najwyższy czas, bo tego jeszcze dnia Nadermanowie a z nimi zapewne i Adolf mieli wyjechać. Jan nie wiedział, że Adolf nie czekając pogrzebu i Nadermanów drapnął jeszcze wczoraj wieczorem cichaczem, a to z powodu owego pojedynku z sekundantem, który mu zagrażał. Skoro bowiem wytrzeźwił się trochę z odwagi i na zimno zaczął rozważać tę sprawę, przyszedł do przekonania, że nie zawsze może pistolet zechce tak celnie mu strzelać, że nic łatwiejszego jak w takich wypadkach stracić jeżeli nie życie, to jakąkolwiek szlachetną cząstkę swego ciała. Dla utrzymania tedy całości swojej w nienaruszalnym stanie wyjechał w sekrecie zostawiając dla ocalenia honoru list do swych sekundantów, w którym tłómaczył się, że nie chcąc więcej prze-

lewać krwi niewinnej zrzeka się wspaniałomyślnie pojedynku.

Ale Jan nie wiedział nic wcale o tym wspaniałomyślnym czynie Adolfa — i sądząc, że ten jeszcze kilka godzin zabawi w zdrojowisku, chciał skorzystać z jego bytności, rozstrzygnąć coprędzej sprawę o oszczerstwo jeszcze przed pogrzebem i zmusić przez to do pojedynku. Tak był cały zajęty tą jedną myślą, że nie spostrzegł wcale, iż ojciec jego był mizerny, jakby z ciężkiej powstał choroby i postarzał się znacznie. Złe wyglądanie przypisywał zmęczeniu po drodze, ale na odpoczynek nie było teraz czasu; każda chwila była drogą. Przybycie aptekarza, który w tej chwili zjawił się, jakby na zawołanie, było bardzo na rękę Janowi; nie zwlekając tedy przystąpił od razu do rzeczy.

— Wiesz zapewne kochany ojcze — rzekł — dla czego cię tutaj fatygowałem. Jest jeden nędznik, który śmiał utrzymywać, że nazwisko, które nosimy, nie jest naszem nazwiskiem, że dla tego nie przyznajemy się do naszego właściwego nazwiska, ponieważ ono figurowało w aktach kryminalnych. Ma podobno nawet jakieś dowody na to, jakieś papiery sądowe. — Jest to tak oburzająca potwarz, że...

— To nie jest potwarz — odezwał się stary Leszczyc stłumionym i drżącym głosem, patrząc w ziemię — ten człowiek prawdę powiedział.

— Prawdę? — wykrzyknął Jan z okropnem zdziwieniem.

— Tak. Właściwe nazwisko moje Górski i pod tem nazwiskiem znano mnie we Lwowie w kryminale, gdzie siedziałem trzy lata.

— Przecież nie za żaden czyn haniebny?

— Za kradzież i przeniewierstwo.

Trudno sobie wyobrazić, jak strasznie cicho zrobiło się w pokoju po tych słowach. Osłupienie i boleść zamieniły ludzi w nieruchome posągi. Pierwszy Jan przerwał tę ciszę wykrzykiem.

— Ty ojcze, za kradzież? — Nie, nie, nie wierzę. Zmówiliście się pewnie — mówił z pospiechem zadyszanym głosem patrząc to na ojca, to na aptekarza — zmówiliście się, aby tem kłamstwem odwieść mnie od pojedynku. Nie róbcie sobie takich żartów ze mnie, bo nawet w żarcie ta rzecz wydaje mi się straszną, ohydną. Choćbyś przysięgał ojcze, nie uwierzę ci, abyś ty mógł się dopuścić tak niecnego czynu.

— Bóg ci zapłać Janie, że wierzysz w uczciwość ojca — odezwał się stary ze łzami w oczach.

— A więc to był żart, nieprawda? — pochwycił żywo Jan. — Nie siedziałeś w kryminale.

— Mówiłem ci, że siedziałem; ale nie za swoje winy.

— Więc niewinny siedziałeś trzy lata?— pytał tonem niedowierzania.

— Trudno ci w to uwierzyć? — Bałem się tego i dla tego nigdy nie mogłem zdobyć się na odwagę opowiedzenia ci tej bolesnej tajemnicy mego życia. Miałem nadzieję, że się bez tego obejdzie, że będę mógł ją zabrać ze sobą do grobu. Niestety los nie oszczędził mi tej przykrości, abym się przed synem własnym nie potrzebował tłómaczyć i usprawiedliwiać. Ale kiedy już do tego przyszło, potrzeba, abyś wysłuchał wszystko. Zostań pan — rzekł do aptekarza, który chciał wyjść przez delikatność, widząc, że się zanosi na poufne zwierzenia tajemnic rodzinnych — zostań pan, chcę, abyś i pan wysłuchał wszystko i był moim sędzią.

Aptekarz usiadł pod oknem. Jan podparł głowę ręką i ponurym wzrokiem wpatrywał się w ziemię. Stary Leszczyc tak zaczął:

(C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

Wojciecha Dzieduszyckiego.

(Ciąg dalszy.)

Sztuka chrześcijańskiego Rzymu.

I chcieliśmy już klasyczną ziemię Włoch opuścić, bo i cóż mogliśmy się w niej nowego dowiedzieć? Piękno ideału, traiki i komiki objawione nam przez Ateny, Florencya mówiła o pięknie rozumowych badań i magicznej mistyki, o ile piękno owo przez chrześcijaństwo zostało przemienionem, Wenecya jawiła nam czar barwy. I czyż ziemia włoska jeszcze co innego nam objawić zdolna? Czyż nie wyczerpana już skala piękna? I pocóż tedy wstępować do dzisiejszego Rzymu? Zamierzaliśmy zrazu poprzestać na małem, przypatrzyć się pięknu starych Greków, i z niego kilka ogólnych wniosków wyciągnąć. Potem zebrała nas ciekawość zapytać się pogańskiej Romy, Florencyi i Wenecyi: czy innego może jakiego piękna nie znają? Każda z nich coś nam szepnęła do ucha, a teraz zdaje nam się, że żaden syn południa nic nowego nam nie powie; więc pocóż iść do Rzymu? I cóż nas obchodzi sława Rafaela, i kopuła Piotra; mogą być piękne, ale pono o tem tylko będą mówić, o czem inni już mówili.

A jednak, patrzcie: Rzym od wieków tęsknotą narodow. Gdy Cezarowie władali światem siedząc na Palatynie wśród miliona niewolników, ciągnęły ludy ze świata całego do Rzymu. I nie dziwota wtedy, i może nie wiele to ma do czynienia z estetyką, bo ciągnęły tak jak do każdej stolicy dla zysku, dla karyery, z potrzeby, z przymusu. Ciągnęli mędrcy, bo myśleli, że tu najprędzej innych mędrców spotkają, ciągnęli literaci i artyści po poklask i grosz, ciągnęła młodzież majętna po huczną zabawę.

Ale stolicę cezarów przeniesiono nad Bosfor, barbarzyniec splądrował Rzym, wypłoszył kupców, mędrców i artystów i pokruszył posągi, a ludzkość całej północy dalej ciągnęła do pustego grodu; i po co? Juźciż nie na to, by oglądać gmachy pogańskiego świata, i posągi, które jeszcze dość mnogo stały wśród gruzów. Koło nich przechodził pielgrzym nie bez zabobonnego podziwu, biorąc je za dzieło czarta służącego niegdyś umarłym poganom. Nie umiał pielgrzym nazwać rzeczy owych, nie rozumiał ich przeznaczenia, uważał to prawie za grzech stanąć przed niemi, niewprawnym okiem nie umiał żadnych szczegółów rozróżnić, i szedł pomimo, na poły przerażony, na poły ciekawy do wielkich stodół o złocistym froncie, do gmachów całych jeszcze, a z umysłu martwych i głuchych wobec życia i rozmaitości tętniących wśród czarnych ruin. Pielgrzym szedł wprost do kościołów, w których się skryły starodawne kości apostołów i świętych pańskich i tam znajdował cel podróży.

W Rzymie, bardziej jak gdziekolwiek na świecie, stanął kościół w przeciwieństwie do zewnętrznego świata. Choć świątynie bogów opustoszały, choć posągi czerniały w samotności, choć się kolumny rysowały, świat ten cały na głos krzyczał o życiu świeckiej ludzkości mnogiej, cielesnej i potężnej, ludzkości skazanej na śmierć i potępienie, co już wymarła na poły, co się do reszty wiła wśród barbarzyńskich wojen i barbarzyńskiej rozpusty, a od której się serce powinno odwrócić w nabożnej skrusze. Więc i kościół odgraniczył się od świata i odumarł dla niego, i stał się dlań z umysłu głuchym i martwym. Sam cały, jak powiedziałem, do martwej stodoły podobny, i pozbawiony wszelkiej ozdoby i piękności, tylko od przodu świeci złocistą mozaiką; a na to by i tę mozaikę skryć przed okiem pogaństwa zasłonięto przód głuchym murem otaczającym pusty dziedziniec. Kościół na zewnątrz obrazem śmierci.

A jednak serce pielgrzyma silnie biło, gdy wchodził do dziedzińca przed świętym Piotrem i świętym Pawłem, przed Maryą Większą i Janem Laterańskim, i pewno cały bezmiar wspaniałych gruzów pogańskich nie zrobił na chrześcijaninie średniowiecznym tego wrażenia, co blask mozaik na płaskiej fasadzie, zwiastujący ozłocony przybytek świętego ciała. Tam w mieście, wśród przeklętych gruzów mógł pielgrzym powitać niejedną postać posągową udającą życie aż do zupełnej ułudy, tu stały jaskrawo malowane, nieruchome, niezgrabne postacie na złotem tle, które nas dziś rażą. A jednak, zawsze prawie, pewno bez wyjątku, postacie owe źle na mozaice wykonane były milszemi od posągów poczerniałych dla oka i duszy pielgrzyma. Tamtych bogów obcego narodu nie znał, bał się ich, i nie do nich dążył. Tu mnich mu nabożnie tłumaczył święte legendy przedstawione na fasadzie, i każdy bohomaz przemawiał do niego cudowną mową nie bez grozy i tajemnicy, a jednak zrozumialszą i mniej straszną od milczenia zaklętych kamiennych demonów pogaństwa.

Jednak dopiero we wnętrzu kościoła święte grozy przejmowały pielgrzyma. U świętej Maryi Większej, u świętego Pawła za murami i w wielu pomniejszych kościołach przechowały się do dziś dnia takie wnętrza, a u Pawła układ i wejrzenie takie, jakie było niegdyś i w stołecznej bazylice Piotra. Możemy tedy z widzenia opisać to co oglądało oko pielgrzyma, ale nie możemy wcale odczuć tego, co czuło jego serce, nawet wtedy gdyśmy bardzo nabożni.

Widzimy ogromną jednostajną salę o płaskim suficie, u której końca lśni jakaś wklęsłość sklepiona i złocona, z kosztownym ołtarzem. Sala ta z dwu boków mnogą koryncką kolumnadą odgraniczona jest wielką nawą bazyliki Pawła, a u dwu jej boków biegną węższe i niższe nawy, niby dwa długie kurytarze, znów od siebie kolumnadami korynckiemi odgraniczone. Za niemi dopiero zamyka kościół jednostajny mur. Kolumny z białego marmuru, bardzo gęsto ustawione i nieżłóbkowane pochodzą z jakiegoś starożytnego gmachu, a w środkowej nawie dźwigają nad płaskiem belkowaniem ciężki, w mozaiki strojny mur. Sufit ozdobiony złotemi kossetami, posadzka, ogromnem zwierciadłem z marmuru, a wszystko tak bogate, że aż od bogactwa oczy bolą. Pewnie nam miło, że możemy się poruszać wśród tak przestwornych i wytwornych przestrzeni, że mo-

żemy patrzyć na te lśniące (teraz już nowożytne) kolumny, na te mozaiki i złocistości. Ale gdy ze skruszonem sercem do kościoła wchodzimy, jako nabożni katolicy, razi nas jakaś świeckość budowy, a gdy jako turyści do bazyliki wkraczamy, z zasobem estetycznych wiadomości w głowie, mało co się ostanie przed bystrą krytyką naszą. Kolumny i kolumnady źle ustawione, dźwigają martwe ciężary, i wprawione do niepoczesnego i nieorganicznego gmachu, wyglądają jak pociągi mistrzowskiego pęzla na bohomazie, jak wiersze poety wprawione w ramot wierszokletы. Nie masz tu myśli konstrukcyjnej, nie masz systemu, nie masz symboliki, nie masz słowem nic prócz ogromu i bogactwa materyału. A niedorzecznością nad niedorzeczności, że za temi kolumnadami i nawami pusta sala podłużna tworzy chór nie żywy, wśród którego wielki ołtarz stanął w złoconej framudze. Sala ta niczem nie powiązana z całością wydaje nam się szczytem barbarzyńskiej a wreszcie świeckiej bezmyślności, psuje perspektywę i dowodzi, że już nie umiano w Rzymie nic wymyślić nad kurytarze i płaskie czworoboczne sale, kiedy w Bizancyum stawiano tak misterne gmachy, jak kościół świętej Zofii. Widzimy tylko, że to gmach ogromny i bogaty, a jeśli doznajemy jakiego silniejszego wrażenia, to chyba dla tego, żeśmy świadomi, że zostajemy w bardzo sławnym gmachu i w gmachu, którego początki wielkiej sięgają starożytności.

I w tem to uczuciu mdłe odbicie tego, co się działo w piersi pielgrzyma gdy wchodził drżąc cały do bazyliki apostoła. Same więzienne pozory zewnętrznej strony kościoła stopniowały w nim to uczucie, bo czuł że zostawia grzeszny świat za sobą, i że wchodzi do twierdzy świętości. A cóż się w nim działo, gdy wchodził do gmachu pełnego złocistych mozaik i pstrych, lśniących marmurów? Gdy widział przed sobą u końca kolumnady grób świętego, dokoła którego i posadzkę pozłocono, przy którym mnogo świec płonęło jak w raju, nad którym uwisły krzyże, cyborya i lampy gęsto obsadzone drogimi kamieniami?

Nie w miejscu sławnem tylko, nie w miejscu z ludzka znakomitem był pielgrzym, ale w miejscu świętem, w samem sercu chrześciaństwa, w środku duchownym świata. Papieże i cesarze chodzili po tych przestrzeniach, niejeden święty tu się modlił, niejeden pan w prochu legał, a w samym środku legł potężny apostół, którego duch przebywał u Boga i posiadał moc nad królestwami świata! I jemu grzesznikowi, i jemu nikczemnemu wolno było przybywać w tych uświęconych murach, gdzie legły prochy apostoła, gdzie bawili królowie i papieże. Jakież to szczęście i wyniesienie!

A na przybytek cały tak sławny patrzał podróżny innem okiem, niż na bezimienne gruzy zapadłego świata pogańskiego, i nie tak jak my patrzymy, sądząc, rozróżniając, rozgatunkowując. Oko jego niewprawne nie znało kolumny, i nie umiało jej nazwać, ale wiedziało, że tu podziwiać winno, czuło że tu wszystko powinno być rajskiem, i pewno pielgrzym wróciwszy do domu mówił, że u Piotra i Pawła są dziwne, przezroczyste, dzierzgane ściany z drogich kamieni, myśląc o kolumnadach.

Przypomnij sobie, jak ci się to wydało, gdyś zobaczył pierwszy raz bogaty jaki, a niezwykły wzór, albo wielkie miasto, albo bogaty tum, albo ciekawy zbiór. Nieprawdaż, że ci się wydało wtedy, że jest tam szczegółów mnóstwo, i że te szczegóły dziwne i nieujęte? Potem przekonałeś się, że wszystko da się przejrzyć, opisać i osądzić, ale z razu odniosłeś wrażenie nieskończonej bujności. I wszystko mnogie, a niedobrze znane, wydaje ci się bujniejszem od tego coś poznał. Sądzisz, że gwiazd jest bez liku na niebie, a gdybyś się niedługo astronomii pouczył, nazwałbyś je wszystkie, bez wysiłku, po imieniu. Gdy legniesz w lipcu na łące, wierzysz że tam setne rodzaje kwiatów setne roztaczają barwy, a gdybyś się przypatrzył, dostrzegłbyś, że jest może dziesięć gatunków kwiatów, a że wszystkiego trzy kolory się mienią.

I ty nie zawsze się bronisz temu wrażeniu, co wyobraźnię twoją uprawnia do niejasnej ale swobodnej twórczej roboty, i naiwnego podziwu, co ciebie czyni poetą i każe ci własnemu przyklasnąć utworowi. A dawny pielgrzym lgnął do dziecinnego podziwu, jakby do cnoty. Grzechem było niewierzyć w cudowność cichego przybytku apostołów i potem po wszystkie dnie swoje pielgrzym przerabiał kolumny w tysiączne, dziwne, kwieciste wzory dzierzganych ścian, i mnożył w nieskończoność złoto, drogie kamienie i rozmiary bazyliki.

I oto stało się, że prąd ludzki, który nas za sobą do wiecznego miasta pociągnął, przecie i coś nowego nam powiedział. Przypomniał nam, że miłe wrażenia podziwu, współczucia i grozy, słowem, że uczucia piękne nie wtedy tylko powstają gdy linie i barwy widzianej rzeczy te uczucia wywołują, że starczy częstokroć na to, by zachwyt wywołać, wielkie wspomnienie lub rozgłośne imię. I o tej nauce w Rzymie nie godzi się zapominać; wspomnienia to i imię nieśmiertelne ciągnęły i ciągną krocie do Romy, i krociom tu każą wszystko bez różnicy podziwiać. Kto czarowi wspomnień nie ulegnie, ten rzadko kiedy potrafi całą piersią rzymskiemu dziełu przyklasnąć, jeśli ono nie jest dziełem Rafaela, ale źle robi ten, który się naumyślnie usuwa z pod zaklęcia dziejowych wspomnień Romy, bo ten się pozbywa wielkiej przyjemności. I czemuż nie masz przybywać z bajecznymi królami, z niezłomnymi konsulami, z trybunami zaciętymi, z fantastycznym zastępem mdłych, okrutnych, lub cnotliwych Cezarów, z orszakiem w niebowziętych męczenników, z papieżami niezmytymi jak opoka Piotrowa, i z przeciwnikami ich, pancernymi cesarzami zachodu, gdy jesteś na ich ziemi, wśród ich murów? I dlaczegoż nie masz się wynosić radośnie z ich towarzystwa? Nie będzie ci błogo i łzawo, jak w Krakowie na łonie ojców, co ciebie kochają, ale serce ci będzie biło uroczyście, i wieki wszystkie wielkim potokiem przepłyną przy tobie, i wyda ci się żeś je przeżył i osądził, i żeś wydając wyrok wyrósł po nad głowy wielkich ludzi, i żeś się stał prawie wiecznym i mądrym, jak ten, co na dziełach ludzi wyrył straszne zgłoski zniszczenia, które wszędzie w Rzymie na cię patrzą: Mane, Tekel, Fares.

Z razu, przez lat tysiąc, narody szły w goście do świętych, a potem coraz więcej do pogańskich bohaterów. Coraz to wyżej wzrastała pamięć tych mężów co umieli więcej i działali wytrwalej od potomnych, i narody wpatrywały się w nich, aż wreszcie przyszło w pierś ludzkości męskie pragnienie, i aż przedsięwzięto stać się podobnym do tych, których już nie stało od lat tysiąca. I ztąd powstało odrodzenie na wszystkich polach. Uczeni zaczęli samoistnie badać, filozofowie samoistnie myśleć; królowie naśladowali politykę starożytnych, a mieszczanie przemienili się w republikanów, tak że polityczne naprawdę cele znów w dziejach zagórowały. Pisano znów poemata sztuką ujęte, rzeźbiono, budowano, malowano, tworzono plany strategiczne, pisano historyą a nie kroniki, i ludzie stanęli w miejsce rycerzy, mnichów i poddanych. Ruch ten był i etyczny i estetyczny zarazem, był dążeniem do urzeczywistnienia poznanego piękna, był wynikiem wstydu z upadku. To też i Rzym zechciał być znowu starym Rzymem.

Ale gdy to pragnienie wstąpiło na siedm wzgórz, gdy się zaczęto wstydzić ciężkich bazylik i szarych zamków co na klasycznym wyrosły pyle, powstało zagadnienie nowe i dało do wyboru dwie rzeczy: Wrócić do starożytności ze wszystkiem, obalić ład istniejący, zapomnieć nową mowę, wyprzeć się starej już wiary, obrać konsulów, mówić po łacinie, świat zawojować i dźwignąć ołtarze Jowiszowi, albo uznać potęgi świeckie i duchowne, a tylko język i wiarę, sztukę i politykę wynieść na dawny poziom. Byli tacy, którzy chcieli stać się napowrót poganami, ale wybór był tylko pozornym, rzeczywistość zwyciężyła, i jeśli było wolno zmartwychwstać Rzymowi, to tylko jako miastu papieży.

(C. d. n.)

O PRZYCZYNACH I SKUTKACH
WZROKU KRÓTKIEGO
ZE WZGLĘDU NA WYCHOWANIE PUBLICZNE

napisał

Dr. Adam Zagórski.

Krótkowidzami nazywamy zwykle te osoby, które zbyt odległych przedmiotów nie mogą rozpoznać wyraźnie, podczas gdy w bliskości widzą dobrze lub przynajmniej dość dobrze. Definicya ta nie jest jednakże dokładną; wielu ludzi uważa się za krótkowidzów, ale nimi nie są w istocie, i odwrotnie wielu rzeczywistych krótkowidzów nie uważa się za takich.

W oczach normalnie zbudowanych leży siatkówka w ognisku soczewki, to jest, że promienie, wpadające do oka z nieskończonej odległości, a więc równoległe przecinają się w jednym punkcie na siatkówce.

Oś takiego oka mierzona od przodu ku tyłowi wynosi 25—26 milimetrów. Inne oczy są tak zbudowane, że siatkówka wskutek za długiej osi, oka przenoszącej niekiedy 30 milimetrów, leży za daleko po za soczewką, tak, że promienie z nieskończonej odległości przecinają się jeszcze przed dojściem do niej i ztąd przedmioty dalsze nie są wyraźnie widziane. Aby wyraźnie takiem okiem widzieć, muszą wpadać do oka takie promienie, które później łączą się równolegle, a więc promienie rozwarte, czyli od przedmiotów bardzo bliskich. Tacy ludzie, których oczy mają oś za długą, nazywają się krótkowidzami.

Kto ma dobre oczy, ten wie, że może druk lub jakie pismo, które wyraźnie widzi w odległości trzech stóp, czytać także, jeżeli go będzie zbliżać co raz więcej do oczu. Jednakże już przy

czterech lub trzech calach czytanie mu z trudnością przychodzi, a w odległości dwóch cali zaledwie może czytać. A to ztąd pochodzi: Podczas patrzania na bliskie przedmioty powstaje w środku oka zmiana, która jest połączona z pewnem natężeniem. Jak wyżej wspomniałem przy określeniu stosowania oka do odległości, zmiana ta polega na kurczeniu czyli grubieniu soczewki za pośrednictwem mięsek rzęskowych. Mięska te przy patrzaniu na odległe przedmioty są nieczynne, dla tego też takie patrzenie nie męczy. Przy działaniu tych miąsek zmniejsza się objętość oka, więc galaretowate ciałko szklanne, mając za mało miejsca ciśnie na tylne części oka, a przez te błony, tam się znajdujące, podlegają rozszerzeniu, czyli za oś oka zostaje przedłużoną. Jeżeli więc przez długi czas będziemy patrzyć na bardzo bliskie przedmioty, jeżeli soczewka nie będzie miała wypoczynku, aby powrócić mogła do swego pierwotnego kształtu, jeżeli nakoniec miąska rzęzkowe ciągle będą naprężone, wtedy to stałe powiększenie ciśnienia w oku wywoła krótki wzrok jako następstwo przedłużenia osi oka.

Lecz nie tylko wskutek ciągłego patrzenia na bliskie przedmioty powiększa się ciśnienie w oku, lecz także wskutek przepełnienia oczu krwią. Pochodzi to z utrudnionego odpływu krwi z głowy, który powstaje przy pochyleniu głowy na przód. Jest to więc także przyczyna wzroku krótkiego. Te dwie przyczyny: ciągłe patrzenie na bliskie przedmioty i pochylanie głowy na przód spotykamy przy złem siedzeniu podczas czytania i pisania. Ma to miejsce najczęściej w szkole *). Dziecko jest przymuszone wskutek nieodpowiedniego oświetlenia pokoju, złego papieru, drobnego i ścieśnionego druku, budowy ławek jak najwięcej przybliżać głowę i korpus do stołu. Ponieważ nie ma podpory pod krzyże, nogi, nie mając podpórki, balansują w powietrzu, więc kości siedzeniowe i łokcie stanowią jedyną podporą dla ciała. Korpus pochyla się naprzód, prawe ramię wysuwa się, lewe cofa w tył; silnie zgięta głowa ciśnie na naczynia krwionośne w szyi, zatrzymuje krew w czaszce i oku i mamy wszelkie warunki do powstania krótkiego wzroku.

Nim jednak dalej zastanawiać się będziemy nad temi przyczynami, muszę choć w krótkości wytłumaczyć, jakim sposobem chwilowe natężenie oka może wywołać stały wzrok krótki. Odpowiedź na to bardzo łatwa. Wyobraźmy sobie, że u naszych dzieci, jeżeli się znajdują pod wyżej podanymi niekorzystnymi warunkami, oko prawie przez połowę czasu czuwania jest natężone wskutek stosowania go do bliskich przedmiotów, w wieku, gdzie rozmaite organa w najlepsze rosną i łatwo się rozciągają. Przypomnijmy sobie, że podczas stosowania oka nacisk w oku się powiększa, to nic naturalniejszego, że bardzo miękkie błonki w oku wskutek nacisku rozciągają się i to głównie w kierunku od przodu ku tyłowi, ponieważ właśnie oko w tylnej części jest najrozciągliwsze. Całej tej zmianie pomaga jeszcze przepełnienie krwią organa, jako skutek natężenia przy stosowaniu oka i pochyłego trzymania głowy, przy rozszerzeniu a właściwie przedłużeniu oka powstaje zaraz przybliżenie granicy widzenia i dziwimy się przy jakiej sposobności, że dzieci nie są w stanie widzieć daleko, że oczy przymrużają, i dopiero staramy się przez rozmaite środki pedagogiczne naprawić to, co stało się już niepowrotnem wskutek zmian anatomicznych.

*) Zobacz: Cohn, Untersuchungen der Augen von 10,060 Schulkindern.

Złe, raz rozwinięte, idzie bez zatrzymania naprzód. Nakoniec udajemy się do okularów, które wreszcie ciągle trzeba nosić, bo krótkowidz już tylko przedmioty na stopę odległe wyraźnie może widzieć. Szkła, które z początku używał do dalekiego patrzenia, zatrzymuje stale na nosie przy czytaniu i pisaniu i tym sposobem wywołuje nowe natężenia wzroku przy stosowaniu oka. W rezultacie szkła nie wystarczają do dalekiego patrzenia, co roku trzeba je zmieniać na mocniejsze, aż wreszcie powstanie obawa o wzrok, udaje się więc do lekarza, który zaleca szanowanie wzroku, niedające się zawsze wykonać w życiu praktycznem.

Nie jeden pomyśli, że przecież wzrok krótki nie jest tak wielkiem nieszczęściem. Lecz niestety tak jest! — znajdują się krótkowidze, którym to tak dalece nie dokucza. Jest im wprawdzie nieprzyjemnie, gdy podczas zimnej pory wejdą do jakiego ogrzanego lokalu i wskutek osadzania się pary wodnej na szkłach przez kilka minut nic nie widzą, albo też znajomi mają do nich pretensyą, że ich na ulicy nie witają, bo ich rozpoznać nie mogli, albo też, gdy im się okulary stłuką lub zagubią to znajdą się w niemiłem położeniu; są to jednak małe nieprzyjemności i ma się tak wielu współtowarzyszów, że się tego nie czuje. Z drugiej zaś strony krótkowidze cieszą się niekiedy, że czytają płynnie drobne pismo, które inni zaledwie przesylabizować potrafią; gdy mają koło 40tu lat, spotykają rówienników, którzy z początku tylko ostrożnie i przy świetle, a potem i we dnie przy czytaniu i pisaniu używają okularów wypukłych, podczas gdy oni nie potrzebują żadnych. Do tego cieszą się, bo słyszeli, lub nawet czytali, że oczy krótkowidzące są silne, i że w starości znów się dobrze widzi z daleka. Z tego wynika, że stan ich wzroku jest im czasami niewygodny, lecz nigdy nie myślą, aby mógł być niebezpieczny. Niestety zapatrywanie ich jest mylne, chociaż twierdzenie Dondersa *), że każde oko krótkowidzące jest chore, nie jest pewnikiem.

Wskażemy teraz coś pośredniego, między zapatrywaniami profanów i Dondersa. — Istnieje wielka różnica między krótkowidzeniem, gdzie granica wzroku sięga w dal na 10—20 cali, a takiem gdzie nawet 10ciu cali nie dochodzi; do ostatniego właśnie odnosi się zdanie Dondersa i należy o tem pamiętać, że krótkowidzenie ciągle się powiększa, mianowicie w wieku młodocianym. Jeżeli takowe raz dojdzie do wysokiego stopnia, to nie będzie już tylko przedłużeniem pojedyńczem osi oka, lecz wywoła wskutek rozciągania i nacisku na błony oczne rzeczywiste chorobliwe zmiany w oku. Odżywianie tych błon staje się upośledzone, naczyniówka cienieje; znika pokład pojedyńczych czarnych komórek, wyścielający ją na wewnątrz i służących do absorbowania światła, a więc do zapobieżenia rażeniu od światła. Liczne naczynia krwionośne wraz z barwnikiem cienieją, a najmniejsze z nich, to jest włoskowate nikną; powstaje zanik, który dochodzi do wyższego stopnia, szczególniej w okolicy tylnego bieguna oka, w miejscu, gdzie naczyniówkę przebija nerw wzrokowy, tam powstaje biała półksiężycowa figura i wreszcie naczyniówka i twardówka zrastają się z sobą i powstaje wypuklenie gałki ocznej z tyłu i na wewnątrz od nerwu wzrokowego. Ponieważ ciśnienie krwi w cieńszych naczyniach nie zmniejsza się, więc te w końcu nie są w stanie stawić oporu napływającym falom krwi, pękają i krew się wylewa. W pomyślnym wypadku przebija ona siatkówkę i dostaje się do ciałka szklannego, chorzy ją widzą w kształcie czarnych płatków, otaczających przedmioty widziane i upośledzających wzrok w miarę ich większej lub mniejszej ilości. (C. d. n.)

*) Donders, die Anomalien der Refraction und Akkommodation des Auges.

Bartek! wstawaj!

(*Myśl z Béranger'a.*)

Bartek! wstawaj! Do komory,
Patrz! idą sekwestratory!

Żal mi cię budzić, nieboże!
Byłeś słaby i noc całą
Pracowałeś co sił stało;
Ale to nic nie pomoże.

Bartek! wstawaj! Do komory,
Patrz! idą sekwestratory!

Człowiek chodzi na robotę,
Nie dosypia, nie dojada,
A winniśmy, wójt powiada,
Do skarbu coś ze dwa złote.

Bartek! wstawaj! Do komory,
Patrz! idą sekwestratory!

Ostatni raz, tom im dała,
Jakoś po świętym Michale,
Moje po matce korale...
Dla bogatych, to rzecz mała!

Bartek! wstawaj! Do komory,
Patrz! idą sekwestratory!

Dolaż! dola! pusta chata,
Sama nie wiem co się stanie,
Tyle mamy co przy ścianie,
Ot tam kosa i łopata.

Bartek! wstawaj! Do komory,
Patrz! idą sekwestratory!

Co tu robić? czy uciekać?
Żeby tak za miesiąc! Boże!
Tobyśmy zebrali może.
Ach! gdyby król mógł poczekać!

Bartek! wstawaj! Do komory,
Patrz! idą sekwestratory!

Cóż im oddam, nieszczęśliwa!
Już nadchodzą! ciężki dzionek!
Chyba mój ślubny pierścionek!
Co Bartek się nie odzywa?

Bartek! wstawaj! Do komory,
Patrz! idą sekwestratory!

Ale Bartek śpi — szczęśliwy!
Już mu śmierć, ta matka miła,
I ból i płacz utuliła,
Spokojny, cichy — nieżywy.

Bartek! wstawaj! Do komory,
Patrz! idą sekwestratory!

M. Rodoć.

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ
EMILA ZOLI.

Spolszczyła
WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ CZWARTA.

(Ciąg dalszy).

II.

Helena nie spała noc całą. Przewracała się rozgorączkowana, a jeżeli zmęczona, usypiała, po chwili zawsze ten sam niepokój budził ją nagle. W tym półśnie dręczyła ją wciąż jedna myśl: gdzie miało się odbyć spotkanie? Sądziła, że uspokoiłaby się, gdyby wiedziała o tem. Nie mogło to mieć miejsca w małem mieszkaniu Malignona, ulica Taibout, o którem nieraz była mowa u Deberle'ów. A więc gdzie? gdzie? I pomimo woli ciągle męczyła sobie głowę nad tem i tą jedną zajęta myślą, o reszcie zapomniała.

Kiedy dzień zaświtał, zaczęła się ubierać i głośno rzekła do siebie:

— To na jutro.

Obuła jednę nogę i opuściwszy ręce, zamyśliła się: może to będzie w jakim hotel garni, może w jakiem nieznanem mieszkaniu, najętem na miesiąc. Przypuszczenie to wydało się jej wstrętnem. Wyobrażała sobie rozkoszne mieszkanie, z ciężkiem grubem obiciem, z kwiatami i wielkim ogniem na wszystkich kominkach. I już nie Julia i Malignon, ale ona sama i Henryk ukryci byli w tem rozkosznem schronieniu, gdzie żaden głos ze świata nie dochodził do nich. Zadrżała. Gdzież to było? gdzie?

— Dzieńdobry, mateczko, zawołała w tej chwili Joanna, budząc się z kolei.

Od czasu jak wyzdrowiała, znowu spała w gabinecie. Bosa i w koszuli tylko, przyszła jak każdego rana i rzuciła się matce na szyję. Potem wybiegła do gabinetu i na chwilę wlazła znowu do swego ciepłego łóżeczka. Bawiło ją to, śmiała się pod kołdrą. Raz drugi powtórzyła tę samą zabawę.

— Dzień dobry, mateczko!

I znowu wybiegła. Teraz śmiała się do rozpuku, zarzuciwszy sobie prześcieradło na głowę; mówiła grubym, przytłumionym głosem:

— Nie ma mnie... nie ma mnie...

Ale Helena nie bawiła się dzisiaj. Wówczas Joanna znudzona usnęła. Nadto rano jeszcze było. Koło godziny ósmej Rozalia zjawiła się i zaczęła opowiadać wypadki rana tego. Oh! co za obrzydliwy czas! o mało co nie potraciła trzewików w błocie, idąc po mleko. Zupełna odwilż, i tak ciepło, że aż duszno. Nagle przypomniała sobie że przychodziła tu wczoraj stara jakaś kobieta do pani.

— Otoż jest! — zawołała, słysząc, że ktoś dzwoni do drzwi; zaręczam że to ona znowu.

Była to matka Fétu, ale bardzo czysto, wspaniale ubrana; miała na sobie biały czepiec, nową suknię i tartan skrzyżowany na piersiach. Zawsze jednak mówiła płaczliwym głosem:

— Moja dobra pani, to ja, ośmieliłam się... Mam prosić panię o coś.

Helena patrzała na nią, trochę zdziwiona jej strojem.

— Lepiej się macie, matko Fétu?

— Tak, tak, lepiej mi, jeżeli można to nazwać... Zawsze mam coś dziwnego w żołądku; stuka mię tam coś, ale wreszcie lepiej mi... A tu trafił mi się dobry los. Zdziwiło mię to, bo, widzi pani, dobry los i ja... Jeden pan poruczył mi gospodarstwo swoje. Oh! to cała historya...

Mówiła coraz wolniej, małe jej oczka ginęły w tysiącznych zmarszczkach twarzy. Zdawała się oczekiwać, żeby ją Helena rozpytywała. Ale ta, siedząc przy ogniu, który Rozalia właśnie rozpaliła była, słuchała jej, roztargniona z miną zamyśloną i cierpiącą.

— Czegoż chcecie, matko Fétu? — rzekła.

Stara nie zaraz odpowiedziała. Przypatrywała się pokojowi, palisandrowym meblom, obiciom z niebieskiego aksamitu. I z miną pokorną i podchlebną ubogiego szepnęła:

Jak tu ładnie u pani, proszę mi darować... Mój pan ma taki pokój, ale różowy. Oh! to cała historya! Niech pani wyobrazi sobie, jeden młody pan z dobrego towarzystwa, najął pomieszkanie w naszym domu. Nie chwaląc się, pomieszkania na pierwszem i na drugiem piętrze bardzo są ładne u nas. W dodatku tak tam spokojnie! ani jednego powozu, jak na wsi... I tak, robotnicy byli ze dwa tygodnie; z pokoju zrobili cacko...

Zatrzymała się, widząc, że Helena słuchała uważniej.

— Ma tam pracować — mówiła znowu więcej jeszcze przeciągle; — mówi, że ma tam pracować... Nie mamy odźwiernego, pani wie... I to mu się podoba... Nie lubi odźwiernych ten pan, i naprawdę! ma słuszność...

I znowu zatrzymała się, jak gdyby uderzona nagłą myślą jakąś.

— Ale prawda! musi go pani znać, tego pana mego... Bywa u jednej z pani przyjaciółek.

— Ah! — rzekła Helena, — blednąc.

— Z pewnością, ta pani tu obok, ta, z którą pani była w kościele... Onegdaj była tam.

Oczy matki Fétu zmniejszyły się, śledziła wzruszenie dobrej pani. Ta usiłowała mówić głosem spokojnym.

— Była u niego?

— Nie, rozmyśliła się, może zapomniała czego... Ja, stałam we drzwiach. Zapytała mię o pana Wincentego; ale potem zasunęła się w doróżkę, wołając na woźnicę: Zapóźno, wracaj... Oh! to bardzo żywa pani, bardzo miła, bardzo wielka. Dobry Bóg niewiele ma takich pań na świecie. Po pani, ona pierwsza... Niech Bóg błogosławi was wszystkich.

Tak dalej trzepała, sypiąc puste frazesa z wprawą dewotki, nawykłej do odmawiania koronki. Ale głucha praca, co drgała w zmarszczkah jej twarzy, nieprzerwanie toczyła się dalej. Oczka jaśniały już teraz zadowoleniem.

— Więc — mówiła znowu niby w dalszym ciągu — chciałabym mieć parę dobrych trzewików. Mój pan nadto był dobry, nie mogę prosić go o to... Widzi pani, jestem odziana; tylko potrzebuję dobrych trzewików. Te co mam dziurawe, proszę zobaczyć, a teraz takie błoto, można się zaziębić i dostać kolek... Naprawdę, miałam wczoraj kolki, męczyłam się całe poobiedzie.... Gdybym miała parę trzewików....

— Przyniosę ci je, matko Fétu — rzekła Helena, odprawiając ją giestem.

A kiedy stara wychodziła już, cofając się tyłem, kłaniając i dziękując, spytała ją:

— O której godzinie można was zastać samych?

— Mego pana nigdy nie ma po szóstej, odpowiedziała. — Ale niech się pani nie trudzi, przyjdę sama i zabiorę trzewiki u tutejszego odźwiernego... Zresztą, jak pani chce. Pani jest aniołem z nieba. Dobry Bóg wynagrodzi pani to wszystko.

Słychać było, jak na schodach jeszcze gadała. Helena siedziała w osłupieniu; jakże dziwnie w porę ta kobieta przyniosła jej tę wiadomość! Teraz już wiedziała gdzie. Różowy pokój w tym zrujnowanym domu! Przypomniała sobie schody, po których sączyła się wilgoć, drzwi pożółkłe na każdem piętrze, pobrudzone tłustemi rękami, i całą tę nędzę, nad którą litowała się poprzedzającej zimy, kiedy odwiedzała matkę Fétu, i starała się wyobrazić sobie różowy pokój pośród tej całej brzydoty ubóstwa. Kiedy tak siedziała, zatopiona w głębokiem rozmyślaniu, dwie małe rączki zakryły jej oczy zaczerwienione od bezsenności, a jednocześnie śmiejący się głosik pytał:

— Kto to?.. kto to?..

Była to Joanna, która się sama ubrała. Głos matki Fétu rozbudził ją; widząc, że zamknięto drzwi gabinetu, pośpieszyła się ubrać, by zaskoczyć matkę.

— Kto to?.. kto to?.. — powtarzała, śmiejąc się coraz bardziej.

Tu Rozalia weszła, unosząc śniadanie:

— Ty nic nie mów... Nikt się ciebie nie pyta.

— Skończ warjatko! — rzekła Helena. — Domyślam się, że to ty.

Dziewczynka osunęła się na kolana matki; tu na wpół się położyła i kołysząc, szczęśliwa ze swego wynalazku, mówiła dalej z tonem głębokiego przekonania:

— Ba! mogła to być przecie inna mała dziewczynka, dziewczynka, którąby ci przyniosła list od swojej mamy, prosząc cię na obiad... I byłaby ci zasłoniła oczy...

— Dość tej pustoty, — rzekła Helena, stawiąc ją na ziemi. — Co gadasz? Podawaj Rozalio.

Służąca przypatrywała się tymczasem małej i rzekła że panienka dziwnie się ustroiła. W istocie Joanna spiesząc się, nie włożyła była nawet trzewików. Miała na sobie spodniczkę, krótką flanelową, przez rozporek której widać było koszulę. Kaftanik z bai, niezapięty, ukazywał nagą szyję i piersi dziecka. Włosy rozczochrane, a pończochy włożone krzywo; bialutka, w bieliźnie tylko, włożonej Bóg wie po jakiemu, dzieweczka prześliczną była.

Pochyliła się, spojrzała na siebie i parsknęła śmiechem.

— Ładna jestem, mamo, zobacz!.. Powiedz, zostanę tak, dobrze?.. Tak ładnie!

Helena, poskramiając niecierpliwość, zadała codzienne pytanie:

— Czy myłaś się?

— Oh, mamo! — szepnęła dziewczynka, nagle zasmucona, oh mamo.... Deszcz pada, tak brzydko na dworze...

— To nie będziesz jadła śniadania... Rozaljo, umyj ją.

Zwyczajnie sama czuwała nad tem. Ale dzisiaj czuła się tak niedobrze, przysunęła się do ognia, trzęsąc się, chociaż zupełnie ciepło było. Rozalja postawiła przed kominem stół, a na nim serwetę i dwa kubki z białej porcelany. Przed ogniem kawa ze śmietanką gotowała się w srebrnym imbryku, podarowanym przez pana Rambaud. O tej godzinie pokój, nie uprzątnięty jeszcze po nocy, wyglądał wesoło, przyjemnie.

— Mamo, mamo! — wołała Joanna z gabinetu, — Rozalia tak mię trze mocno, drapie mię... Oj! jak to zimno!

Helena, z oczami utkwionemi w imbryk, głęboko dumała. Chciała wiedzieć i postanowiła pójść tam. Mięszała ją i gniewała zarazem myśl o tajemniczem rendez-vous w owym brudnym zakątku Paryża. Zły gust tej tajemnicy zdradzał Malignona, jego romansową wyobraźnię i chętkę wznowienia tanim kosztem domków na ustroniu z czasów Rejencji. A jednakże, pomimo wstrętu, czuła się rozgorączkowana; cichość i półcień, które musiały panować w różowym pokoju, mimowolnie nęciły jej zmysły.

— Jeżeli panienka nie da się umyć, to poproszę pani, — powtarzała Rozalja...

— Pusczaj! mydło zachodzi do oczu, — odpowiadała Joanna głosem, w którym drżały łzy.— Dosyć, puszczaj mię... Jutro umyjesz uszy.

Ale pluskanie wody nie ustawało, słychać było jak z gąbki spływała na miednicę. Wreszcie podniósł się hałas utarczki. Joanna płakała. Ale prawie w tejże chwili ukazała się wesoło wołając:

— Już skończono! już skończono...

Włosy miała mokre jeszcze, a cerę różową od natarcia; wstrząsała się jeszcze trochę, przyniosłszy z sobą zapach świeżości.

Walcząc z Rozalią, zsunęła z siebie kaftanik; spodnica odwiązała się; pończoszki opadły i małe nóżki odsłoniły się. Co teraz, to, jak utrzymywała Rozalja, panienka zupełnie podobna do małego Jezusa. Joanna, dumna z tego, że tak była czysta, nie chciała ubierać się.

— Popatrz, mamo, popatrz na moje ręce, i moją szyję, i moje uszy... A co? pozwól mi ogrzać się trochę, tak mi dobrze... Nie powiesz, że nie zasłużyłam dzisiaj na śniadanie,

I usadowiła się w małym fotelu swoim przed ogniem. Rozalia nalała kawę. Joanna wzięła kubek swój na kolana i poważnie maczała w niej grzankę, z miną dorosłej osoby. Zwyczajnie Helena nie pozwalała jej tak jeść. Ale dzisiaj zajęta była czem innem. Nie jadła nic, piła tylko kawę. Dopijając już swoją, Joanna uczuła wyrzut. Serduszko jej ścisnęło się, postawiła kubek i widząc, że matka tak blada, rzuciła się jej na szyję.

— Mamo, czy teraz ty chora jesteś? To nie ja zmartwiłam cię, powiedz?

— Nie, kochanko, owszem, grzeczna jesteś bardzo, — szepnęła Helena całując ją. — Ale zmęczona jestem trochę, źle spałam... Baw się, bądź spokojną.

Myślała o tem, że dzień ten będzie bardzo długi. Co ma robić, czekając nocy? Od jakiegoś czasu nie dotykała się już igły, praca wydawała się jej niezmiernie ciężka. Godzinami całemi siedziała ze złożonemi rękami, dusząc się w pokoju swoim; potrzebowała wyjść i odetchnąć świeżem powietrzem, bo nie ruszała się z miejsca. Pokój ten przyprawiał ją o chorobę; nienawidziła go za te dwa lata, które w nim przeżyła; wydawał się jej szkaradnym ze swym niebieskim aksamitem i z tym obszernym widokiem Paryża; marzyła o małem mieszkaniu wśród hałasu ulicznego, któryby ją odurzył. Mój Boże! jakże te godziny powolnie płyną! Wzięła książkę, ale między oczami swemi a stronicami, na które patrzyła wciąż, przesuwały się te same obrazy, które pozostawały w jej głowie.

Tymczasem Rozalja sprzątnęła pokój; Joanna była uczesana i ubrana. Helena siedząc przed oknem, próbowała czytać, dziewczynka, która była w jednym ze swych dni hałaśliwej wesołości, zaczęła wielką zabawę wśród poustawianych mebli. Była sama jedna, ale nie troszczyła się o to wcale; bardzo dobrze zastępowała trzy lub cztery osoby nawet, a co najzabawniej, że robiła to z wielką powagą i głębokiem przekonaniem. Naprzód bawiła się w damę, składającą wizyty. Znikała w sali jadalnej, potem wracała, kłaniając się, uśmiechając i z kokieteryą obracając głowę.

— Dzień dobry, pani... Jak się pani ma?... Od tak dawno nie widziałam panię. To cud — naprawdę!... Mój Boże! byłam słaba — pani... Tak, miałam cholerę — to bardzo nieprzyjemnie!... Oh! nie znać tego na pani, młodnieje pani, słowo honoru. A dzieci pani? Ja miałam ich troje od przeszłego lata...

I wciąż kłaniała się przed stołem, co zapewne przedstawiał damę, u której była z wizytą, Potem przysuwała krzesełka i z nadzwyczajną obfitością słów podtrzymywała ogólną rozmowę, trwającą z godzinę.

— Co wyprawiasz, Joanno—mówiła jej matka od czasu do czasu, kiedy zniecierpliwił ją hałas.

— Ale, mamo, jestem u mojej przyjaciółki... Mówi do mnie, muszę przecie odpowiadać jej... Nieprawdaż, że kiedy podają herbatę, to nie można chować ciastek do kieszeni?

I dalej paplała:

— Żegnam panią. Doskonała była herbata pani... Ukłony moje mężowi pani...

Nagle scena się zmieniła. Joanna wyjeżdżała powozem po sprawunki, usiadłszy konno na krześle, jak chłopiec. — Janie, nie tak prędko, boję się... Zatrzymajże się! jesteśmy przed modystką... Panienko, co kosztuje ten kapelusz? Trzysta franków, to nie drogo. Ale nieładny jest. Chciałabym mieć ptaka na wierzchu, ot tak dużego... No, Janie, jedźmy do korzennego sklepu. Nie ma miodu! Owszem, pani — oto jest. Oh! jakiż dobry! Nie chcę go; proszę mi dać cukru za dwa susy. Ależ uważaj, Janie! Ot tak! pojazd przewrócił się! Panie sierżancie, to wózek padł na nas... Nie skaleczyła się pani? Nie, panie, wcale nie... Janie, Janie! wracamy. Hop! hop! Zaczekaj, chcę zamówić koszule... Trzy tuzіny dla pani... Potrzebuję także trzewików i gorseta... Hop! hop! Mój Boże, nie ma temu końca!

I wachlowała się, udając panię, która wraca do siebie i łaje swe sługi. Nigdy nie brakło jej pomysłów; była to gorączka, ciągła praca dziwacznej wyobraźni, obrazy życia, które wrzało w jej małej główce i ukazywało się oddzielnymi ustępami. Rano, po obiedzie, kręciła się, tańczyła, paplała; kiedy się zmęczyła, wówczas taburet, parasolka, stojąca w kącie, gałganek, z ziemi podniesiony, wystarczały do nowej zabawy i sprowadzały nowe pomysły wyobraźni. Tworzyła wszystko, osoby, miejsca, sceny; bawiła się tak, jak gdyby dwanaścioro dzieci jej wieku było z nią.

Nakoniec, wieczór nadszedł. Szósta godzina miała wybić. Helena, budząc się z niespokojnej drzemki, na której przeszło jej całe popołudnie, żywo zarzuciła szal na ramiona.

— Wychodzisz mamo? — spytała Joanna zdziwiona.

— Tak, kochanko, potrzebuję wyjść, tu nie daleko. Wrócę prędko — bądź grzeczna.

Na dworze trwała odwilż. Rzeka błota płynęła ulicą. Helena udała się do magazynu obuwia, na ulicy Passy, gdzie była już raz z matką Fétu. Potem wróciła na ulicę Raynouard. Niebo było szare, mgła podnosiła się z bruku. Ulica biegła przed nią pusta i przerażająca, pomimo dość wczesnej godziny jeszcze; rzadkie latarnie gazowe tworzyły żółte plamy na mokrym bruku. Przyspieszała kroku idąc tuż około domów i kryjąc się, jak gdyby szła na jakąś schadzkę. Ale kiedy nagle zawróciła do pasażu Wód, prawdziwy przestrach ogarnął ją; niepewna, zatrzymała się pod sklepieniem. Pasaż otwierał się pod jej stopami jak czarna dziura. Nie mogła dojrzeć głębi jej, w ciemności tylko widziała drżące światełko jedynej latarni, która ją oświecała. Nakoniec zdecydowała się i wzięła za poręcz, ażeby nie upaść. Końcem nogi macała szerokie stopnie. Na prawo i lewo mury ścieśniały się, noc powiększała je niezmiernie; po nad nimi gałęzie drzew, ogołocone z liści, niewyraźnie rysowały się jak olbrzymie ramiona z rękami wyciągniętemi i zaciśniętemi palcami. Drżała na myśl, że drzwi jednego z tych ogrodów otworzą się, i że ktoś rzuci się na nią. Nie było jednak nikogo, Helena schodziła jak mogła najspieszniej. Nagle cień jakiś wypłynął z ciemności; zadrżała, kiedy cień odkaszlnął; była to stara kobieta, która z trudnością wchodziła na górę. Helena uspokoiła się i staranniej podniosła suknię, której ogon wlókł się po ziemi. Błoto tak było gęste, że trzewiki przylegały do stopni. Stanąwszy na dole, instynktownie obejrzała się. Z wilgotnych gałęzi woda ściekała do pasażu, latarnia wyglądała jak lampa górnika, zawieszona u ściany studni, której podmywanie groziło niebezpieczeństwem.

Helena poszła prosto na strych, gdzie tak często dawniej chodziła, na górę wielkiego domu w pasażu. Ale nadaremnie stukała, nic się nie odzywało. Zakłopotana bardzo, zeszła na dół. Matka Fétu musiała znajdować się w mieszkaniu pierwszego piętra. Ale Helena nie śmiała iść tam. Pięć minut może stała na ulicy, którą naftowa lampa oświecała. Znowu weszła na górę, wahała się, zaglądała do drzwi i miała już odejść nareszcie, kiedy stara kobieta ukazała się pochylona na poręczy.

— Jakto, moja dobra pani na wschodach!— zawołała. — Ależ proszę wejść! zaziębi się pani...

— Nie, dziękuję — rzekła Helena — oto trzewiki dla was, matko Fétu...

I spoglądała na drzwi, które ta zostawiła otwarte za sobą. Przez nie widać było róg pieca.

— Sama jestem, przysięgam pani — powtarzała stara. — Proszę wejść. To kuchnia z tej strony... Ah! pani nie jest dumna z biednymi ludźmi. To, to można powiedzieć...

Pomimo wstrętu swego i sama wstydząc się tego, co robiła — Helena weszła za nią.

— Oto trzewiki wasze, matko Fétu...

— Mój Boże! jakże mam podziękować pani?... O, co za doskonałe trzewiki!... Poczekajcie, zaraz je włożę. Zupełnie jak na moję nogę, jakby naumyślnie robione... To co innego! można w tem chodzić, przynajmniej człowiek nie obawia się deszczu... Uratowała mię pani, to tak, jak gdyby mi pani darowała dziesięć lat życia. Nie mówię tego przez pochlebstwo, nie, to święta prawda, jak to, że ta lampa oświeca nas teraz. Nie, ja nie umiem pochlebiać...

Mówiąc to rozczulała się, ujęła ręce Heleny i całowała je. Wino grzało się w rądelku; butelka bordeaux na wpół wypróżniona stała na stole przy lampie. Zresztą były tam tylko cztery talerze, szklanka, dwie rynki, kociołek. Widać było, że matka Fétu rozgospodarowała się w tej kawalerskiej kuchni, gdzie zapalała w piecu tylko dla siebie. Spostrzegłszy, że oczy Heleny zatrzymały się na rądelku, kaszlnęła i zaczęła utyskiwać.

— Wraca mi to w brzuchu — jęczała. — Niech sobie doktor mówi, co chce, muszę mieć

tam robaka... Trochę wina pomaga mi... Bardzo jestem biedna, moja dobra pani. Nikomu nie życzę tego, co cierpię, to nadto boli... Dość, że pieszczę się trochę; wolno popieścić się, kiedy człowiek tyle przecierpiał, nieprawdaż?... Powiodło mi się, żem tak szczęśliwie trafiła na dobrego pana... Niech go Bóg błogosławi!

I dwa wielkie kawały cukru włożyła do wina. Starucha utyła jeszcze, małe jej oczka gubiły się w nabrzmiałej twarzy. Ruchy jej spowolniały, widać w nich było spokojne zadowolenie. Pragnienie życia całego zdawało się być zaspokojone nakoniec. Do takiego bytu czuła się stworzona. Kiedy chowała cukier, Helena dostrzegła w szafie łakocie, słoik konfitur, paczkę biszkopcików, a nawet cygara, ukradzione u pana.

— A zatem! adieu, matko Fétu, idę już — rzekła.

Ale stara posunęła rądelek na róg pieca — mówiąc:

— Proszę zaczekać, nadto gorące, wypiję potem... Nie, nie, proszę nie wychodzić tędy. Przepraszam, że przyjęłam panię w kuchni. Pójdziemy na około.

Wzięła lampę i weszła na wąski kurytarz. Helena, której serce biło, szła za nią. Kurytarz miał ściany popękane, okopcone i wilgotne. Drzwi się otworzyły, zaczęły iść po dywanie. Matka Fétu postąpiła kilka kroków w ciemnym pokoju, gdzie panowała cisza.

— A co? — rzekła, podnosząc lampę — nieprawdaż, że tu ładnie?

Były to dwa czworogranne pokoje, połączone drzwiami których skrzydła wyjęto; na ich miejsce zawieszono portyery. W obydwóch było jednostajne obicie z różowego kretonu, w medaliony Ludwika XIV., z pucołowatymi amorkami, igrającymi wśród wieńców z kwiatów. W pierwszym pokoju był stół, dwie berżerki, fotele; drugi mniejszy zajmowało jedynie ogromne łóżko. Matka Fétu zwróciła uwagę Heleny na kryształową lampkę, zawieszoną u sufitu złoconemi łańcuchami. Lampka ta była dla niej wyobrażeniem najwyższego przepychu.

— Nie może pani sobie przedstawić jaki to dziwny człowiek — mówiła przytem. — W biały dzień zapala światło i siedzi tu z cygarem w zębach i nosem do góry... Widać, że go to bawi... Mniejsza z tem, ale pieniędzy to musiał wydać porządnie!

Helena, nic nie mówiąc, obchodziła pokoje. Znajdowała je nieprzyzwoitemi. Nadto różowe, łóżko nadto wielkie, meble nadto nowe. Czuć w tem było zamiar uwiedzenia i obrażającą zarozumiałość. Modystka poddałaby się natychmiast. A jednak niepokój ogarniał powoli Helenę; stara tymczasem, mrugając oczyma — mówiła dalej.

— Każe się nazywać panem Wincentym... Mnie... to tam wszystko jedno. Dopóki płaci...

— Do widzenia, matko Fétu — powtórzyła Helena — której robiło się duszno.

Chciała wyjść, otworzyła jedne drzwi i znalazła się wobec szeregu trzech małych pokoików zupełnie pustych i straszliwie brudnych. Kawały oberwanego papieru wisiały u ścian, sufity były czarne, gruzy wapna walały się po dziurawej posadzce. Woń nędzy raziła nieprzyjemnie.

— Nie tam, nie tam! — zawołała matka Fétu. — Drzwi te zwykle zamknięte... To są inne pokoje, te, których nie kazał urządzić. Ba! i tak dosyć go to kosztowało... Nie tak to już ładne — naturalnie... Tędy moja dobra pani, tędy.

Kiedy Helena wróciła do różowego buduaru; stara zatrzymała ją, całując ręce.

— Nie jestem niewdzięczna... Nie zapomnę nigdy o tych trzewikach. Tak dogodne a ciepłe, że mogłabym przejść w nich trzy mile!... O cóż powinnabym prosić Boga dla pani? O mój Boże, wysłuchaj mię, niech ona będzie najszczęśliwszą z kobiet! Ty, co czytasz w mem sercu, wiesz, czego jej życzę. W imię Ojca, i syna i ducha świętego, amen!

Nabożny szał nagle ją ogarnął; żegnała się raz po raz, przyklękała przed wielkiem łóżkiem i kryształową lampką. Nareszcie, otwierając drzwi, prowadzące na schody, głosem zmienionym szepnęła Helenie na ucho:

— Kiedy pani zechce, proszę postukać do kuchni: zawsze tam jestem.

Helena odurzona, oglądając się, jak gdyby wychodziła z jakiegoś podejrzanego miejsca, zeszła ze schodów, przeszła pasaż wód, i sama nie wiedząc jak i kiedy, znalazła się na ulicy Vineuse. Tam dopiero zastanowiła się i zadziwiła nad ostatniemi słowami staruchy. Nie, z pewnością nie stąpi już nigdy nogą w tym domu. Nie potrzebowano już tam jałmużny. Pocóż miałaby pukać do kuchni? Teraz już była zadowolona, widziała. I czuła pogardę dla siebie i dla innych. Co za szkaradzieństwo, że poszła tam! Oba pokoiki i kreton ich ciągle przesuwały się przed jej oczyma; jednem spojrzeniem zapamiętała najmniejsze szczegóły, aż do miejsca, na którem krzesła stały, aż do fałd, w które się firanki u łóżka zaginały, i zawsze za nimi widziała szereg owych małych pokoików brudnych, pustych, opuszczonych; a obraz ten, te ściany popękane, ukryte pod pucułowatymi amorkami, wzbudzały w niej gniew, połączony ze wstrętem.

— A tak! pani — zawołała Rozalia, która czatowała na nią na wschodach, dobry to będzie obiad! Od pół godziny już wszystko się pali!

U stołu, Joanna zasypała matkę pytaniami. Gdzie była? co robiła? Odbierając na to krótkie odpowiedzi jedynie, zaczęła sama bawić się w obiad. Na krześle przy sobie usadowiła lalkę swą. Po bratersku dzieliła się z nią deserem.

— Nadewszystko, panienko, proszę jeść czysto... Obetrzyjże się... O, mały brudasku, nie umiesz nawet założyć sobie serwety... No, tak, to ładnie... Masz biszkopcik. Co mówisz? Chcesz do niego konfitur?... Prawda! tak będzie smaczniejszy... Daj, niech ci obiorę twoje jabłko...

I część przeznaczoną lalce kładła na krześle. Ale kiedy wypróżniła swój talerz, zabierała wówczas z kolei łakocie, ofiarowane lalce, i jadła je, mówiąc wciąż w imieniu tej ostatniej.

— O! doskonałe!... Nigdy nie jadłam tak dobrych konfitur. Gdzie pani kupuje te konfitury? Powiem memu mężowi, by mi przyniósł słoik takich... Czy to z ogrodu pani te jabłka?

Usnęła, bawiąc się, i z lalką na rękach leżała na krześle. Od rana zabawa trwała bez przerwy. Małe jej nóżki ustały już, zmęczenie pozbawiło nareszcie wszelkiego czucia; śpiąca śmiała się jeszcze, musiało się jej śnić, że się bawiła. Matka położyła ją nieruchomą, bezwładną, zajęta zapewne wielką zabawą jakąś z aniołami.

Helena sama pozostała w pokoju. Zamknęła się i okropny wieczór spędziła przy wygasłym ogniu. Wola wymykała się jej; myśli, do którychby się przyznać nie śmiała, głucho pracowały w jej głowie. Była to jakby jakaś druga w niej kobieta zła i zmysłowa, której ona nie znała wcale; a jednak nie mogła niesłuchać rozkazującego jej głosu. Kiedy północ wybiła, położyła się zmęczona. Ale w łóżku męczarnie jej stały się do nie zniesienia. Spała nawpół tylko, przewracając się na pościeli jak na żarzących węglach. Prześladowały ją obrazy, które bezsenność do ogromnych podnosiła rozmiarów. Nareszcie myśl jedna utkwiła w głowie. Napróżno ją odpychała, myśl wdzierała się, chwytała ją za gardło, opanowała ją całą. Około drugiej godziny wstała blada i sztywna jak lunatyczka, zapaliła lampę i napisała list, zmieniając pismo. Była to denuncyacya, bilecik w trzech liniach, zapraszający doktora Deberle, by tegoż samego dnia, o takiej godzinie, do takiego miejsca zechciał się udać. Bilecik ten bez podpisu włożyła do koperty i zapieczętowawszy, wsunęła do kieszeni sukni swej, leżącej na fotelu. Położywszy się wówczas, zasnęła natychmiast snem ołowianym. (C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 10. października.

Po dwakroć w ubiegłym tygodniu, cały Lwów miał tę przyjemność, zadzierania głów swoich do góry i topienia wzroku w niebieskich błękitach — z czego jednak nie sądźcie czytelnicy, aby to miało być kompletnem jego ku Bogu nawróceniem. Wprawdzie obecność partyi krakowskiej na sejmie, mogłaby wiele wpłynąć na takie podniesienie ducha i myśli naszych ku niebiańskim celom — ale tym razem tryumf nabożnego Krakowa byłby przedwczesnym, gdyż sprawcą takiego zwrotu jak na teraz, był żółtawego koloru, pękaty balon zwany Gambettą. Podług zapewnień imci pana Damma, w pruskiej czapce żeglującego tym balonem, ma to być ten sam statek, którym jednooki dyktaktor francuski drapnął z oblężonego Paryża podczas inwazyi pruskiej. — Jakim cudem dostał on się Niemcom, to jest balon a nie Gambetta, i za jaką cenę kupił go dzisiejszy właściciel, tego historya na sążniowym afiszu wypisana nie objaśnia. Dość, że Lwów pierwszy raz w życiu miał tę sposobność gapienia się na szybującego po przestworze Gambettę, który z przyczyny swego republikańskiego warcholstwa, ma bardzo wiele podobieństwa do naszego demokratycznego Lwowa.

Cóż tam Gambecie i dziwić się nie można, on tylko jednem okiem zapatrywał się na moc uczucia patryotycznego we Francyi — ale my opatrzeni podwójnem orlim wzrokiem, raz przecie przekonać się powinniśmy, że to nie jest bezpiecznem wydęty balon pragnień narodowych puszczać na wolę wiatrów. Z bolem serca objaśnili nas konserwatyści, że zwykły kształt takiego balonu powoli zamienia się na gruszkę, a z tej gruszki robi się figa, a i ta figa spada gdzieś w okolice Kulparkowa, zkąd podobno nie wraca już nikt o zdrowych zmysłach. Dlatego też kochany gorącego serca Lwów zaczyna się powoli temperować, przybierając postać dojrzałego męża. I nic dziwnego? odkąd „Dziennik Polski“ ożeniwszy się z „Narodówką“ wszedł na drogę rozsądku i zapobiegliwości gospodarskiej, odkąd Dyrekcya Teatru, aż do skończenia rozpraw budżetowych, na których rozstrzygają się losy subwencyi — musi wyczekiwać zmiłowania Bożego — opinia publiczna ma wciąż zamknięty wentyl dla wypuszczenia nadmiaru

*

swych dąsów i musi trzymać się zasady solidarności. Większość głosów już dzisiaj wpiła się bezpośrednio w życie obradującego sejmu i całego kraju, czego dowodem dwukrotne dekompletowanie izby przy głosowaniu nad wnioskiem o powiększeniu liczby posłów ze Lwowa i Krakowa. O Krakowie nie wątpimy, że wysłałby ludzi obdarzonych poczuciem polskiego konserwatyzmu, ale ten Lwów, ten Lwów... Widmo redaktora gazety Narodowej, lub p. Rewakowicza stoi wciąż przed oczami, denerwując na jawie i we śnie całą rzeszę sejmową.

Opierając się na konstytucyi 3. maja znoszącej liberum veto, nie możemy już dzisiaj po staropolsku krzyknąć „nie pozwalam“ i uciec do Krakowa. Funkcyę tę zrywania sejmów, objęła za nas opiekuńcza władza rządowa, jak to miało miejsce roku zeszłego, gdy adres do korony wszedł na porządek dzienny. Dziś radzimy sobie inaczej, urządzając drapaka gdy marszałek sejmu zabiera się do liczenia przytomnych posłów. Daj Boże, aby zasada ta utrzymała się przy kwitowaniu z odbioru dyet poselskich — boć jedna konsekwencya powinna drugą za sobą pociągać. Gdy chodziło o udzielenie nagany zbuntowanym posłom za ich rejteradę z wiedeńskiego koła poselskiego — kompletu nie zabrakło — i to się nazywało solidarnością narodową; teraz znowu gdy idzie o podobną rejteradę, aby niedopuścić zanotowania wstrętnego prawa o powiększenie liczby posłów, brak kompletu także się nazywa solidarnością. Na pozór wygląda to na niekonsekwencyę, ale w istocie rzeczy tak nie jest. Większość chciała ukarać krnąbrnych uciekinierów i dopięła swego; taż sama większość delegacyjna nie życzy sobie widzieć w sejmie liberałów miejskich i dekompletuje izbę — czyż w tem nie widać jednolitości działania chociaż na odmiennej drodze?

Nowelle gminne z małemi poprawkami, wbrew opozycyi p. komisarza rządowego przeszły, ale czy przejdą w górnych sferach, to wielkie pytanie. Wprawdzie rząd sprzyjając krajowi, zamierza liczbę excelencyi doprowadzić do dwunastu, lecz czy zatwierdzi tak skromne żądania nasze, wątpić się godzi... Chyba żeby nas już gwałtem potrzebowano, a ci co nam patronują w Wiedniu, mieli odwagę skorzystania z okoliczności...

Miasto nasze od kilku dni wielce się ożywiło z powodu niespodziewanego przybycia arcyksięcia Karola Ludwika. Niemcy w Wiedniu i Węgrzy narobili z tego wiele harmideru, że dostojny protektor akademi polskiej chce się przekonać osobiście, o ile postąpiliśmy dotąd w nauce polityki narodowej. Mogą być spokojni, od czasu wyjazdu Gillera, Limanowskiego i Wołowskiego staliśmy się najlojalniejszym w Austryi narodem, choć potrafimy na złość robić innym. Magistrat kazał pierwszy raz w tym roku porządnie pozamiatać ulice, mieszkańcy rzęsiście oświetlili miasto, fakelzug udał się należycie, a jeneralne prezentacye, recepcye, obiady, zwiedzanie miasta, tak tu, jak i w Krakowie, powinny o chorobę przyprawić zawistnych nam Niemców.

Pogodę mamy przepyszną — niebo szafirowe i bez chmurki jak w neapolitańskiej zatoce; daj Boże, aby tylko w myślach obradującego sejmu była taka sama pogoda, i żeby rozjechawszy się do domu, mogli się pochwalić, że kadencya ta jak inne nie została zmarnowaną, i że pracą swoją przysporzyli krajowi kilka nowych ustaw, które wydźwigną nas z nędzy i ospałości.

W końcu zanotować musimy fakt dowodzący jak na teraz już niczem nie zmąconej solidarności z narodem. Posłowie nasi wszyscy bez wyjątku wzięli udział w składce na wybicie złotego medalu dla J. I Kraszewskiego, doręczywszy komitetowi na ten cel dwieście dwadzieścia guldenów. Prócz tego wystosują adres do niego z uznaniem niespożytych zasług na polu uczciwej piędziesięcioletniej pracy około dobra narodowego. Adres ten spisany na pargaminie i opatrzony podpisami wszystkich członków sejmu, wręczony będzie jubilatowi przez osobną do tego wybraną delegacyą, co sądzimy wywołać powinno ogólny poklask we wszystkich dzielnicach naszej Polski.

O wieczorku muzyczno-deklamacyjnym, który tutejsza m odzież uniwersytetu wydaje na cześć prezesa akademii krakowskiej p. Majera, podamy w numerze następnym szczegółowe sprawozdanie.

Piśmiennictwo polskie.

Z TEKI WIEJSKIEGO SZLACHCICA *)

Kwity z opłaconych podatków i rat Towarzystwa Kredytowego, kontrakty sprzedanych *par*, zapiski wysiewu i omłotu zboża, rachunki z czeladzią i kupcami pobliskiego miasteczka, czasem rewersa pożyczonych pieniędzy, odezwy wójta gminy, zaproszenia do składek, bilety na loteryę fantową, kopie ważniejszych listów — oto mniej więcej materyał, wypełniający zwykle *tekę wiejskiego szlachcica*. Miałżeby bezimienny autor książeczki, pod tym tytułem niedawno we Lwowie wydanej, swoją filozofią nad temi przedmiotami w niej zawrzeć? Nie śmiejcie się: i kwity z opłaconych podatków i bilety na loteryą fantową — nie mówiąc o kontraktach i rewersach — mogą dostarczyć u nas pobudek do bardzo poważnej i głębokiej filozofii. Pewnego np. dnia dziedzic wsi Zgoniny odbiera z poczty tłustą kopertę, w której znajduje setkę loteryjnych biletów, przy nich czuły list, pukający delikatnie do miłosierdzia szlacheckiej kieszeni. Z czego odgadnięto, że pan na 20 włókach aż tyle potrzebuje na zasycenie swej jednorazowej ofiarności? Spostrzegłszy „pokorną prośbę,“ krzywi się wszystkiemi ruchomemi muskułami swego ciała, głowę paznokciami zajadle orze i wzdycha tak głęboko, że najnatrętniejsze muchy, kilkakrotnie prądem odrzucone, starannie go omijają. Sto za dużo — radzi ktoś — weź dziesięć. Szlachcic gorzko się uśmiecha i powiada: zapłaciłbym ja drogo za resztę przy pierwszym interesie. Ot filozoficzne zagadnienie dla mieszczucha, który z pewnością nie pojmuje, dla czego musiałby drogo zapłacić za 90 biletów na loteryę fantową, gdyby ze 100 nadesłanych tylko 10 kupił? Rozwiązać to zagadnienie może tylko filozofia stosunków prowincyonalnych, w których pokorna prośba staje się często rozkazem a posłuszeństwo miłosierdziem, w których trwożliwa mysz polna uzbraja się nagle pazurami wilka. Dziad chodzący po kweście w kościele, przy wielkim ołtarzu pobożnych uniżenie do ofiary wzywa, ale przy drzwiach nieraz drążkiem pobudzi. Coś podobnego zachodzi i w naszem życiu społecznem. Mieszkańcy stolicy zachowują swoją wolną wolę wobec wezwań dobroczynnych, ale mieszkańcy odległej prowincyi muszą znosić szturknięcia żebrzącego dziadka. Wprawdzie nikt nawet słownym przymusem cudze kieszeni nie wyciska, ale daje do zrozumienia, że przy pierwszym interesie... Trzeba groźbę tego „interesu“ dobrze zrozumieć. W miastach, zasiedlonych ludnością inteligentną, zamożną, a więc mającą czynności bardzo rozgałęzione, stosunek wszelkiego rodzaju „interesantów“ do załatwiających interesa jest nieporównanie większy niż na wsiach. Tam poczta, urząd gminny lub powiatowy ma zaledwie kilkanaście lub kikadziesiąt jednostek wyższego społecznego znaczenia, które może skrępować daleko silniejszą zależnością. Chłop listów nie odbiera, daleko z domu nie wyjeżdża, transakcyi handlowych nie robi, o konsensy się nie stara — dla każdej więc instytucyi pozostaje drobna garstka „szlachty,“ która ma interesa. Otóż przypuśćmy że jeden z tej grupki odważył się nie kupić wszystkich sto biletów na loteryą fantową, przysłanych mu przez osobę, załatwiającą bardzo wiele interesów? Niejeden zapewnie jeszcze z naszych powieściopisarzów, kreśląc charakter miejskiego szlachcica, przedstawi nam burzliwego rykałę, który ma pakowny żołądek, spadziste gardło, chłopów kijem okłada, żyda o cholerę pyta i przed budą rwących się z łańcucha psów z nim rozmawia, a nikogo prócz Boga się nie boi. Dawno już, dawno czasy takich typów minęły. Dziś wiejski szlachcic jest najtrwożliwszym gatunkiem ludzkiego rodzaju, zającem, który bardzo rzadko ma tę przyjemność, iżby żaby przed nim ze strachu w wodę wskakiwały. Nie otrzymuje gazet lub otrzymuje zniszczone — czemu się nie skarży? Boi się poczhaltera, który przy pierwszym interesie... Ot np. do dziedzica Zgonin nadeszła z Warszawy paczka nasion kwiatowych. Wyprawiono po nią ekonoma. A gdzie upoważnienie awizacji? Ekonom wraca trzy mile drogi i jedzie powtórnie. Trzeba poświadczenia wójta gminy. Ekonom znowu wraca i udaje się o milę do gminy, ztąd po raz trzeci jedzie na stację pocztową. Stracić trzy dni czasu koni i człowieka, zmęczyć je 20 milową podróżą, to wystarczy, ażeby panu poczhalterowi nie przeszkadzać w niszczeniu lub tłuszczeniu gazet, a to tem bardziej, że mógłaby mu przyjść chęć nieoddawania wszystkich nieasekurowanych listów. Jeżeli zaś ekspedytor poczty jest dla szlachcica figurą bardzo groźną, to cóż mówić chociażby o... pisarzu gminnym. Dziedzic Zgonin postanawia ochraniać swoją zwierzynę i w tym celu przybija na słupach odpowiednie ostrzeżenia. Nikomu, nawet rodzonemu bratu polować u siebie nie pozwoli. Tymczasem pewnego dnia odbiera różową cyfrą na fioletowym papierze ozdobiony list, w którym pan pisarz gminy rozmachaną kaligrafią, ukoronowaną sztucznie z przeróżnych skrętów uwitym podpisem, pyta grzecznie, czyby nie mógł „kilka razy puknąć sobie na gruntach Wielmożnego Pana Dobrodzieja.“ Odmówić? Drogo policzyłby sobie tę odmowę pan pisarz przy pierwszym interesie... A ileż on interesów trzyma w swojem ręku! Ileżby nagle znalazł zepsutych dróg i mostów, ileżby unieważnił szkód w dworskiem zbożu zrobionych, ile razy nawzywał do kancelaryi dziedzica! Czy nie lepiej pozwolić mu „puknąć“ i okupić spokój parą zajęcy i kuropatew? Wreszcie nie sięgajmy tak wysoko: prosty chłop jest dla obywatela ziemskiego przedmiotem tak wielkiej bojaźni, że jeśli nasza szlachta dziś schudła, główny procent spadku wagi jej ciała chłopstwu przypisać należy. Pomijając bowiem strapienia z nieuregulowanych stosunków rolnych wynikające, sama możliwość ciągłej odpowiedzialności sądowej za nałogi dawnego zwyczaju jest dostateczną groźbą. Zjadłeś sto tysięcy djabłów złodzieju! — krzyczy szlachcic do chłopa, który mu ściął w lesie kilka dębczaków na kłonice — chłop pozywa go do sądu o obelgę i zyskuje nań wyrok z karą aresztu. A pomyślcie,

---

*) Podajemy za „Nowinami“ ten artykuł, jako wybornie malujący obecne stosunki właścicieli ziemskich w Królestwie Polskiem. (Przyp. Red.)

czy podobna odrazu pozbyć się głęboko wkorzenionych nawyknień, czy natura obu wiejskich żywiołów może nie wywołać ciągłych pogwałceń prawa przyzwoitości? Biedny więc szlachcic jest ze wszystkich stron osaczony, wygląda jak koń, który śmiało bujał po twardym i rozległym stepie, a teraz go nagle wpędzono na bagna cieniutkim lodem skrzepłe. Rzuca się, szarpie, skacze i co chwila załamuje. Przerażony, nie widząc z nikąd ratunku, spojrzał tęsknym wzrokiem ku plebanii i zarżał. Wyszedł pleban, litościwie popatrzał, na niebo wskazał i przyrzekł ze swej strony pomoc pod warunkiem nieprzerwanego i regularnego odbierania dziesięciny. Tym sposobem przybył obywatelowi nowy strach. Jeżeli bowiem ksiądz proboszcz nie otrzyma czynszu, to przy pierwszym interesie.... Jakim? Posłuchajcie. Pewnego dnia właściciel Zgonin, siedząc przed gankiem, widzi zbliżającą się ku niemu gromadę chłopów, wiejskich kobiet i dzieci. A czego to chcecie? Przed świętą spowiedzią przyśliśmy przeprosić Wielmożnego Pana — powiada Mikołaj; poodkręcałem żelastwo u siewnika. A ja urżnąłem kawał pasa u sieczkarni — mówi Mateusz. Ja w nocy wziąłem z pola kilka dworskich snopków pszenicy... Ja dziurą ze stodoły wyciągałem koniczynę... Ja trzy snopki lnu... Ja oberwałem gruszki... tak dalej odbywa się spowiedź całorocznych kradzieży, które obywatel przebacza, przeciw którym jednak, poznawszy sprawców, na przyszłość się zabezpiecza. Mając uczciwy na około siebie lud, zwolna zaniedbuje obowiązki względem plebanii, a gdy wreszcie wolnomyślny przyjaciel z Warszawy zburczał go, że z uwolnienia od ciężaru nie korzysta, przestaje zupełnie składać dziesięcinę. Pewnej niedzieli, zbliża się gromada ludzi. Ha, znowu pokradli i przepraszać idą. Przyszliśmy — odzywa się jeden — prosić, żeby Wielmożny pan nadrobił z księdzem proboszczem, bo na nas pomstuje, że w święta na polach robimy. W jakie święta? A to było świętego Pawła w Okowach, co jest w bocznym ołtarzu, N. P. Maryi Anielskiej, Śnieżnej, Przemienienie Pańskie, Ścięcie św. Jana. Nie ma rady, trzeba posłać dziesięcinę, gdyż inaczej Piotr w Okowach i inni święci będą mieli w czasie roboczym wieczną pretensyą szczególniej do nieczułego dla plebanii dworu.

Z przytoczonych powyżej względów, które jeszcze wieloma innemi, nawet wymowniejszemi pomnożyćby się dały, *w tece wiejskiego szlachcica* powinienby się znaleść następujący aforyzm: Staraj się grywać w karty z przyjaciółmi w mieście gubernialnem, jeśli tam nie — w powiatowem, jeśli tam nie — w gminie, jeśli tam nie — na plebanii, a strzeż się z nikim w karty nie grywać.

Maksyma ta rozświeca nam całą niesprawiedliwość przycinków, jakiemi literaci zwykli kłuć naszą szlachtę za jej buńczuczność w Warszawie. Wyznaję, że nie dziwiłbym się wcale obywatelom wiejskim, gdyby przyjechawszy do stolicy z radości do gołębi na gmachu teatralnym strzelali. Tu bowiem dopiero czują się oni swobodni, bezpieczni, wolni od groźby załatwiających im przeróżne interesa. Ganić ich za to, że brykają, jest to ganić ogniste konie, że wypuszczone na podwórze, w zapale swobody skaczą i wierzgają. Nie będąc panami na swoich dobrach stają się panami na warszawskim bruku; nie czują samowoli, lecz prawo, ostre czasem, ale prawo, z którem zawsze łatwiej poradzić sobie można, niż z księdzem proboszczem, który nie pobiera dziesięciny, lub z pisarzem gminnym, któremu na dworskich gruntach „pukać“ zabroniono. Zresztą jeśli nawet rozochocony szlachcic zetrze się czasem w stolicy z jakąś obrażoną jego skokami siłą, to w lepszej, szlachetniejszej naturze tej siły ma pociechę za porażkę i nie doznaje tej goryczy, którą go poi w domu impozycya lub złość pierwiastków niższych, często zezwierzęconych. To też ma zupełną słuszność, gdy wróciwszy na wieś, pomyśli lub zapisze między notatkami swej *teki:* królestwo moje nie jest z tego świata...

(Dok. nast.)

TEATR.

(Piękna Macocha, obraz dramatyczny w 4 aktach przez pp. Gondinet i Malot. Niedzielne przedstawienia popołudniowe.)

Od dawna już żadna sztuka nie obudzała tak gorączkowego zajęcia w widzach, jak „Piękna Macocha“, przed kilku dniami po raz pierwszy u nas przedstawiona. Sztuki tej nie można nazwać arcydziełem, czuć często składaną robotę, ma ona jednak wielkie zalety: żywą charakterystykę osób, zręcznie rozwiniętą intrygę, nareszcie ton szlachetny, przyjemnie odbijający od mnóstwa współczesnych wyrobów francuskiego piśmiennictwa dramatycznego.

Opowiedzieć całą intrygę znaczyłoby to napisać romans. Główny węzeł intrygi jest następujący: Zrujnowany panicz, wice-hrabia Agenor de Sainte Austre chce się ożenić z piękną Martą, jedyną córką bogatego przedsiębiorcy w Bordeaux, pana Donis. Ta córka kocha ubogiego inżyniera, ma zaś macochę, która stanowczy wpływ wywiera na postanowienie swego męża. Piękna macocha mogłaby może namówić pana Donis, aby oddał rękę swej córki ubogiemu inżynierowi, ale przebiegły wice-hrabia Agenor umiał dostać w ręce list pięknej macochy do pewnego kochanka, i tym listem, jak sztyletem grożąc młodej pani Donis, zmusza ją do popierania jego sprawy u ojca Marty. Pan Donis wymawia dom swój inżynierowi, a od córki domaga się, aby poślubiła wicehrabiego. Córka na to stanowczo oświadcza wicehrabiemu, że żoną jego nigdy nie zostanie. Ale nagle, niespodziewanie dowiaduje się o tajemnym stosunku macochy, dowiaduje się także, że Agenor jest w posiadaniu tej strasznej dla honoru i spokoju jej ojca tajemnicy. Gotowa więc poświęcić się, gotowa już oddać rękę wice hrabiemu, gdy macocha domyśliwszy się powodu tej zmiany w postępowaniu pasierbicy i nie mogąc znieść jej czystego wzroku zażywa truciznę i umiera. Przed śmiercią wyjednywa u męża zezwolenie na małżeństwo inżyniera z Martą.

Szczególnie ujmującą jest charakterystyka wicehrabiego Agenora (p. Kwieciński) i jego ojca (p. Fiszer) starego, zrujnowanego arystokraty, ale jeszcze goniącego za miłostkami. Młody Agenor jest skończonym łotrem, ale łotrowstwo jego jest tak zręcznie maskowane wielkoświatową swobodą, że widz nieraz daje się oszukać i gotów widzieć w nim tylko przyjemnego i wesołego człowieka. Szczęśliwie uchwyconą jest także postać Lataste'a (p. Lubicz); jest to typ prowincyonalnego eleganta, strasznego głupca, bałwochwalcy naśladującego wszystko, co mu się być zdaje modą stołeczną. Ale najciekawszą ze wszystkich i najstaranniej opracowaną jest charakterystyka pani prefektowej (p. Parźnicka), kobiety rządzącej wszystkiemi sprawami departamentu i protegującej każdego, kto się pod jej skrzydło chroni, kobiety zabawnej, ale w gruncie dobrej. Najmniej wyrazistą i najmniej udatną jest postać pana Donis, którą autor wykręca w różne strony tylko dla tego, ażeby się stało zadość intrydze.

Co się tyczy tonu szlachetnego, to polega on głównie na tem, że jakkolwiek niewierność małżeńska, niezbędna w dramatach i romansach francuskich, i tu odgrywa ważną rolę, nie absorbuje jednak całego zajęcia widzów, nie jest powleczoną ponętnymi kolorami, a i owszem dzięki zestawieniu z czystą miłością Marty dla inżyniera ukazuje się we właściwem świetle.

Grano sztukę z wielką werwą. Oprócz wymienionych już artystów brali udział w przedstawieniach, w głównych rolach: pani Ładnowska, która była bardzo sympatyczną Martą, pani Nowakowska (pani Donis) i p. Woleński (inżynier.)

W ostatnią niedzielę rozpoczęły się popołudniowe przedstawienia arcydzieł dramatycznych „Mazepą“ Słowackiego. Pomysłu tego z całego serca musimy powinszować dyrekcyi, która tym sposobem czyni nawet więcej niż to, czego się od niej w przeszłym roku domagała krytyka, nietylko bowiem przyrzeka dawać arcydzieła dramatyczne, ale i dawać je po zniżonych cenach. Szkoda tylko, że początek wykonania tego znakomitego pomysłu przypadł na chwilę, kiedy cały Lwów wyległ na miasto dla oglądania niewidzianego dziwu, to jest prawdziwego balonu z prawdziwym człowiekiem w łódce balonowej.

J. T.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Rozpoczął się już druk nowego wydania *Kłopotów Starego Komendanta,* illustrowanego przez E. Błotnickiego. Pierwsze wydanie, które wyszło z druku przed 25 laty, tak się podobało, że natychmiast w handlu księgarskim wyczerpanem zostało. Trudno zaprawdę wytłumaczyć z jakiego powodu wznowionem nie zostało i aż dopiero po 25 latach podjęto nowe wydawnictwo. Lepiej późno jak nigdy. *Kłopoty starego komendanta* należą do najznakomitszych powieści u nas, a w swoim rodzaju jako powieść humorystyczna jest jedyną, nieporównaną. Miło będzie tym, którzy ją czytali przed ćwierć wiekiem spotkać się z dawnym a tak sympatycznym znajomym. Nie wiemy czy młodsze pokolenie podzieli gusta starszych...

*** *Tygodnika powieści* wyszedł z druku w Poznaniu Nr. I. i zawiera: Koleje życia powieść T. T. Jeża. Klarnet. Nowella Pedra Antonia de Alarcon (przekład z hiszpańskiego). Jakób de Trevannes. Przekład z francuskiego F. W. *Tyg. pow.* wychodzić będzie co sobotę. Prenumerata kwartalna we Lwowie (w Księgarni Polskiej) 1 złr. 25 ct.

*** *Państwo i jego granice* E. Laboulay'a wyszło w osobnem wydaniu książkowem.

*** „Zdrowie“, które nawiasem mówiąc rozwija się pomyślnie, rozpoczęło druk ciekawej pracy p. Eug. Dziewulskiego, asystenta przy uniwersytecie warszawskim pt. „Rybie jezioro w Tatrach“.

*** Liczba studentek na kursach medycznych żeńskich w Petersburgu, dochodzi już do 500, a wolnych słuchaczek do 200.

*** Czytamy w *Nowinach:*

„Bitwa Grundwaldzka Matejki — jak nas zapewnia jedno z pism tutejszych, w ostatniej chwili swych narodzin zyskała pobożny, ale niefortunny, dodatek.

„Mistrz, przypomniawszy sobie, że Długosz zapewnia, jakoby przez cały czas starcia widziano w obłokach biskupa Stanisława, domalował go na swym obrazie.

„Geniusz Matejki może być wolnym od posłuszeństwa cudzym radom i sądom; ale niechże nam wzajemnie służy prawo wyrażenia żalu, że znakomity utwór tak nieszczęśliwie dopełniony został.

„Bo naprzód, cokolwiek kronikarska bajka plecie, Stanisław ani nie był patronem idei oswobodzenia się Lechii od krzyżackiego rozboju, ani charakterem swoim na obdarowanie go później tą chwałą nie zasłużył. Umieszczenie „biskupa zdrajcy“ (jak go Gall nazywał) po nad obrazem narodowej walki, jest bardziej jej ironią niż uświęceniem.

„Powtóre zapytać wolno, czy przypisanie zasługi zwycięstwa obłocznemu widmu, nie krzywdzi męstwa ludzi, którzy krwią swoją na polach Grundwaldu zapisali tryumf naszej historyi? W blasku biskupiej mary gasną promienie sławy Jagiełły, Wi-

tolda i walczącego koło nich rycerstwa. Czy to słuszna i zaszczytna dla nas zamiana świateł?

„Tak kronika opowiada — rzekną czciciele eposów z religijnemi dekoracyami. Niechże więc sobie wymalują Leszka, zaślubiającego córkę Cezara, lub walczącego z Aleksandrem Wielkim — bo i o tem także kronika Kadłubka opowiada.

„Zresztą Matejko dowiódł swoim „Sejmem", że nawet historya — jego fantazyi nie obowiązuje, jeżeli więc uległ na ten raz legendzie, uległ nie prawdzie, ale świątobliwej woni, jaka go z Długoszowych kart przyjemnie zaleciała.

„Pocieszajmy się nadzieją, że nam tę woń pięknościami, swego wielkiego dzieła nagrodzi".

Rzeczywiście dodatek ten do historycznego obrazu trzeba nazwać więcej jak niefortunnym.

⁂ Pomnik Chopina. Chopin, ojciec muzyki naszej, szczególnie po macoszemu był dotąd traktowany przez naszych muzyków, nie pod względem wykonywania dzieł jego — żaden bowiem koncert fortepianowy bez jakiegoś dzieła Chopina się nie obchodzi — ani też nie pod względem naśladownictwa — i tego bowiem mamy niemało — ale pod względem uczczenia jego pamięci.

W chwili dopiero obecnej, jak się dowiadujemy, powstała myśl postawienia Chopinowi pomnika, a raczej nagrobku w jednym z kościołów warszawskich.

Myśl tę podniósł dyrektor towarzystwa muzycznego p. Żeleński.

Spodziewać się należy, że dokonanie tego sympatycznego projektu, za który panu Żeleńskiemu należy się prawdziwe uznanie, nietylko u swego towarzystwa ale i u ogółu publiczności, znajdzie szczere i gorące poparcie.

Jak wiadomo, zmarły we Francyi genialny nasz muzyk objawił przed śmiercią życzenie, ażeby serce jego przewiezione zostało do rodzinnego kraju. Życzeniu temu stało się zadość. Serce Chopina znajduje się w posiadaniu rodziny jego i zapewne złożone zostanie pod projektowanym nagrobkiem.

⁂ Autor „Emigracyi Chłopskiej", pan Ludwik Anczyc, wykończa obecnie nową sztukę ludową, której tytuł „Góral w Warszawie".

⁂ Ukazała się w handlu księgarskim „Kolęda dla gospodyń na rok 1879" przez autorkę 365 obiadów.

⁂ *Tygodnik illustrowany* rozpoczął druk nowej powieści Zacharyasiewicza „Tajemnica Stefanii".

W pismie tem jest również pomieszczany przekład dramatu Lomana „Jan Dacier".

Przekładu dopełniła Seweryna Duchińska.

⁂ W *Kłosach* znajdujemy początek oryginalnej nowelki J. K. S. „Dług i spłata".

⁂ „Osa", kalendarz humorystyczno-informacyjny illustrowany Czesława Przybylskiego, po raz trzeci wstąpił już w szranki swych wesołych braci.

Nazwę swoją „Osa" usprawiedliwia częścią humorystyczną, wydobywającą się na jaw w rycinach i tekscie, którą kompletuje podręcznik informacyjny stanowiący praktyczną wartość tej publikacyi.

⁂ *W Bibliotece najcelniejszych utworów literatury europejskiej* mają być pomieszczane niektóre dzieła Kremera.

Następnie ukaże się „Faust" Getego, którego część druga została już w tym celu przełożona przez znanego tłumacza i pracownika na niwie literackiej Feliksa Jezierskiego.

Pan J. do „Fausta" dodał obszerne a sumiennie wypracowane komentarze.

Pan Jezierski przełożył też ostatniemi czasy z angielskiego słynny dramat Swinburne'a „Chastelard", osnuty na tle dziejów Marji Stuart.

Przekład ów p. t. „Marja Stuart" drukowany będzie *w Bibliotece warszawskiej.*

Wiadomości ekonomiczne.

⁂ Nowa droga kolei żelaznej ma być poprowadzona od Zmierynki, stacyi kolei kijowsko-brzeskiej, do Mohylowa nad Dniestrem. Od pierwszej z tych miejscowości do Serbinowiec nowa droga iść będzie prawie równolegle z odnogą wołoczyską, a ztamtąd dopiero zwróci się na południe ku Mohylowowi. Poszukiwania na gruncie już się odbywają.

Koleją na Wezuwiusz.

Podczas gdy Wezuwjusz szaleje, wybuchając potokami lawy — tymczasem w zarządzie robót publicznych w Rzymie radzą o jego losach.

Proponowane jest mianowicie udogodnienie środków lokomocyi na wierzchołek „góry ognia."

W tym celu jeden zprzedniejszych włoskich bankierów poczynił odpowiednie kroki najpierw w prefekturze Neapolu, następnie zaś w wyższej radzie robót publicznych.

Owym środkiem lokomocji ma być kolej żelazna systemu tak zwanego funikularnego,

Systemat ów polega na tem, że wagony będą ciągnione równocześnie z dołu w górę i napowrót przez maszynę parową stałą o sile kilkudziesięciu koni.

Mechanizm owej kolei tak ma być urządzony że jednocześnie dwiema linjami szyn iść będą dwa pociągi — jeden w górę drugi zaś na dół.

Każdy z owych pociągów złożony z czterech wagonów o czterech miejscach.

Wagony pociągów będą ze sobą silnie połączone.

Długość drogi wyniesie 840 metrów, a kąt jej pochyłości 45^0.

Dla uniknienia katastrofy każdy wagon, będzie zaopatrzony w automatyczny nowowynaleziony hamulec, który w razie pęknięcia lin ciągnących wagon, natychmiastowo zatrzymuje wagon na miejscu.

Zdaje się, że projekt ten zostanie wprowadzony w życie.

W takim razie turyści będą mogli bez przeszkody dostawać się do strasznego krateru Wezuwiusza...

Idąc w ten sposób dalej, doprawdy trudno powątpiewać, czy wkrótce jaki przedsiębiorca nie zechce znów pobudować kolei do głębi wulkanu a nawet do... środka ziemi.

Byłby to tryumf dla Verne'a.

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

„Album" złożone z prac uczącej się młodzieży polskiej, poświęcone Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu z powodu jubileuszu jego pięćdziesięcioletniej działalności literackiej, wyjdzie u nas w tym roku.

Prospekt jego jest następujący: Od wieku pracują wytrwale nieprzyjaciele narodu polskiego nad zabiciem duchu narodowego i nad rozerwaniem moralnej jedności, którą zawsze zachowują trzy fizycznie rozdzielone części Polski. A jednak usiłowania ich są bezowocne; naród polski w dziedzinie myśli i uczucia jedności swej nie stracił. Polska żyje czczona przez obcych dla wielkich mężów, których wydała — żyje w sercach synów natchnionych miłością ojczyzny.

Jednym z potężnych objawów tej jedności są chwile, w których cały naród polski pospiesza ze wspólnym wyrazem czci i uwielbienia ku geniuszom, których sam wykarmił i wypiastował. Wówczas z dumą wskazuje na tych swych przodowników, będących najlepszem świadectwem jego istnienia i żywotności; wówczas daje dowody, że żyje i że żyć jest godnym, bo czci i czcić umie swych synów; wówczas głośne składa dowody swej łączności, bo kroczy on wszystek bez względu na istniejące polityczne podziały, by złożyć hołd zdolności, pracy i zasłudze. Wielkie te manifestacye jedności narodowej są tem ważniejsze, że zachęcają mężnych do pracy ku naszemu odrodzeniu, w zwątpiałych wlewają otuchę, w słabych wiarę a lepszą przyszłość, a same stanowią żywy protest przeciw wyrokom o skonie naszym. Dlatego z każdej chwili takiej winniśmy korzystać, z wytężeniem sił wszystkich podnieść ją do znaczenia święta narodowego, dołożyć wszelkich starań, by wszystkie stany i klasy społeczeństwa najżywszy wzięły w niej udział.

Dziś nadarza się taka sposobność: Kraszewski święci swój jubileusz! I oto cały nasz naród przygotowuje się, by w uroczystym pochodzie złożyć u stóp jego wieniec laurowy, na który żywotem swym zasłużył. Wszystkie stany idą w zawody, by uczynić zadość szlachetnym popędom uczczenia wielkiego rodaka. Wszyscy spieszą z uznaniem wielkich cnót jego i zasług wiekopomnych.

I młodzież polska, mająca zawsze na oku sławę i wielkość narodu, pomna obowiązków swoich, pospiesza również, by — o ile starczą słabe jej siły — przyczynić się do uczczenia Józefa Ignacego Kraszewskiego. Wszak on to, kreśląc najkrwawsze chwile męczeństwa naszego, nauczył nas młodych nienawidzić tych, którzyby ostatnią kroplę krwi wysączyć z nas chcieli i żywcem złożyć do grobu. On nauczył nas wspominać z uwielbieniem o tych, którzy z miłością ojczyzny, z nienawiścią ku wrogom w sercu, poświęcając wszystko, kroczyli do walki za ojczyznę, wolność i wiarę. On nauczył nas w tęsknem wzruszeniu a z niespożytą wiarą oczekiwać jutrzenki swobody i wolności. On nauczył nas czuć i myśleć po polsku. Przeto obowiązkiem jest naszem okazać wdzięczność, jaką dla niego żywimy, dać dowód, że ziarno przezeń rzucone nie padło na nieurodzajną glebę i w tym celu złożyć u stóp jego skromny upominek, obejmujący to, na co nas stać najlepszego, owoc studyów i prac naszych.

Kierowana tą przewodnią myślą czytelnia akademicka we Lwowie wzięła inicyatywę w uczczeniu pierwszego z obecnie żyjących pisarzy polskich a to przez wydanie książki zbiorowej pod tytułem: „Album złożone z prac uczącej się młodzieży polskiej", poświęcone Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu z powodu jubileuszu jego pięćdziesięcioletniej działalności literackiej.

Do udziału zawezwano całą młodzież polską, kształcącą się na uniwersytetach i wyższych zakładach naukowych w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Wiedniu, Berlinie, Wrocławiu, Lipsku, Gryfii, Petersburgu i w innych miastach; zewsząd otrzymano zapewnienia, że myśl tę z niekłamanym przyjęto zapałem. Ze słabemi wprawdzie siłami, z płodami kilkuletnich zaledwie studyów występujemy w świat, nie wiedząc, czy prace nasze odpowiedzą wymaganiom światłej publiczności, lecz zawsze pozostaje nam to przekonanie, że dajemy przez to dowód jedności całej młodzieży polskiej i że czynimy zadość powinności naszej uczczenia znakomitego ziomka.

Niestety nie znajdujemy się w szczęśliwem położeniu, byśmy z własnych funduszów mogli pokryć koszta wydawnictwa i dla tego też ogłaszając prenumeratę na powyższe Album zbiorowe, udajemy się do publiczności polskiej z prośbą, by przedsięwzięcie nasze zechciało jak najsilniej poprzeć, a ufni w hojności narodu, który nie szczędzi ofiar na uczczenie wielkiego syna Polski, tuszymy, że publiczność nasza silnie poprze te usiłowania liczną prenumeratą.

Album, obejmujące około 50 arkuszy (700 stronic) druku, a które już się znajduje pod prasą, zawierać będzie prace z rozmaitych gałęzi nauk i umiejętności, artykuły treści beletrystycznej, poezye itp. Do oceny takowych uproszono światłych znawców literatury i mężów nauki.

Żałujemy mocno że tak dużo projektów uczczenia jubileuszu Kraszewskiego rozrywa siły na wszystkie strony i nie da możności żadnemu dojść do pożądanego rezultatu. — Wszystkie projekta bowiem zwracają się do tych samych czynników. Ta sama czytająca publiczność ma pokryć swoją pronumeratą koszta wszystkich wydawnictw. To stawianie coraz nowych projektów nie dowodzi naszej jedności – jak powiada młodzież — ale przeciwnie naszego rozbicia. Nie umiemy uznać zasługi inicyatorów i skupić się koło jednej myśli, ale każdy na swoją rękę rozpoczyna i schodzi na bezdroża.

ROZMAITOŚCI.

⁂ Nowy rodzaj podróżowania. Pewien Francuz, rodem z Kanady, odbył w Londynie próbę chodzenia po wodzie, za pomocą trzewików długich trzy a szerokich jedną stopę, wypchanych zgęszczonem powietrzem; spacerowicz ten potrzebował 20 minut na przebycie jednej mili angielskiej.

⁂ Teorya rozwoju znaną była w Japonii, przed ukazaniem się dzieła Darwina: „Origin of Species", albowiem po rozebraniu starożytnej świątyni w sierpniu r. b. z rozporządzenia Mikada, znaleziono w piwnicach, poczet rzeźbionych figur, poczynając od małpy, rozwijających się postępowo, kończąc na człowieku.

⁂ Dla plotkarek!

Panna Józefa X. jest bardzo ciekawą i musi wiedzieć o wszystkiem, co się dzieje u sąsiadów.

Skoro tylko zaskrzypną drzwi, wnet wygląda, kto wchodzi lub wychodzi, a często nawet podsłuchuje pode drzwiami.

W ten sposób dowiedziała się raz o pewnej tajemnicy, której rozgłoszenie mogło zaszkodzić sławie sąsiadki...

Osoby ciekawe bywają zazwyczaj złośliwe i nie umieją utrzymać języka za zębami, dla tego też wkrótce tajemnica rozeszła się po całem sąsiedztwie.

Doszło to do uszu pani Y., do której właśnie

odnosiła się ta tajemnica. Pani Y. postanowiła dojść, kto puścił pogłoskę.

Pewnego razu złapała pannę Józefę na gorącym uczynku podsłuchiwania. To otworzyło jej oczy; przeprowadzone zresztą energicznie śledztwo wykryło dowody, że panna Józefa jest winowajczynią.

Poszkodowana udała się ze skargą do sądu.

Obrońca jej podprowadził czyn oskarżonej pod §. 137 ustawy o karach, wymierzanych przez sędziów pokoju, który brzmi jak następuje:

„Za rozgłaszanie, z zamiarem zaszkodzenia czyjejbądź sławie, wieści, udzielonej w tajemnicy, lub powziętej przez otworzenie cudzego listu, albo innym sposobem prawu przeciwnym, winni ulegną aresztowi do dni 15, lub karze pieniężnej do rs. 50“.

Obrońca oskarżonej twierdził, że podsłuchanie nie jest sposobem prawu przeciwnym...

— Co to złego podsłuchiwać — rzekła panna Józefa — mieszka nas kilka sąsiadek na jednym kurytarzu i nawzajem podsłuchujemy się.

— A dla czego pani rozgłaszasz złe wieści o pannie Y?

— A kiedy ona źle postępuje, więc chcę ją przed całym światem zawstydzić, aby się poprawiła.

Sędzia, nie podzielając głoszonej przez pannę X. teoryi nawracania zbłąkanych sąsiadek, uznał oskarżoną za winną i skazał na karę pieniężną w kwocie rs. 25, lub w razie niewypłacalności, na tydzień aresztu policyjnego.

⁂ Pan X. jest młodzieńcem dosyć rozsądnym lecz roztargnionym, wskutek czego postępuje tak, jak gdyby miał... zajączka w głowie.

Pewnego razu panna Aniela, dla której serce jego płonęło ogniem uczucia, poprosiła go o zmianę książek, które abonowała w jednej z drugorzędnych czytelni warszawskich.

— Ale, panie Edmundzie — rzekła — ja biorę książki pod przybranem nazwiskiem: „Żurawski“. Niechaj pan sobie zapisze.

— E, będę pamiętał... żuraw... ptak... — odrzekł pan Edmund.

Pan X. wszedł do czytelni i poprosił o zmianę książek.

— Nazwisko pańskie? — zapytano go.

Pan X. zamyślił się głęboko i zaczął szeptać z cicha:

— Słowik... Słowikowski... nie!... Szczygieł... Szczygielski... nie!...

Właściciel patrzył na niego z pewnego rodzaju przestrachem.

Nagle pan X. krzyczy uradowany:

— Wróblewski!...

Właściciel czytelni spogląda do listy abonentów i nie znajduje w niej podobnego nazwiska.

— Nie, panie, żaden pan Wróblewski nie abonuje u mnie książek...

Pan Edmund zmieszany wyszedł z czytelni.

Po upływie dziesięciu minut wpada zadyszany i potrącając po drodze jednego z gości, krzyczy z całych sił:

— Wiem!... wiem... Żurawski... Żurawski...

Właściciel i gość spojrzeli na pana X. ze zdumieniem.

Pierwszy odezwał się nawet:

— Panie! pan, jak waryat, potrąca ludzi...

Nazwa waryata była dla pana X. czułą struną.

Rozgniewany więc wielce zaskarżył właściciela czytelni o obelgę; jako świadka przedstawił gościa, którego potrącił wbiegając do czytelni.

Sędzia, wysłuchawszy opowiadania całego zdarzenia, uznał, że pan X. dał powód do tego, że go nazwano waryatem i oskarżonego od wszelkiej odpowiedzialności uwolnił.

⁂ „Pester Lloyd“ mówiąc o charakterystycznych właściwościach słynnego malarza Hansa Makart'a, którego obraz „Wjazd Karola V do Brukseli“ powszechną zwracał uwagę na wystawie paryskiej, opowiada anegdotę cechującą milczące i nader małomowne usposobienie artysty:

Pewnego dnia zaproszono Makarta na obiad. Celem uprzyjemnienia chwil obiadowych, umieszczono przy boku artysty pannę Gallmeyer, gwiazdę operetki wiedeńskiej. Makart jadł i pił, nie odezwawszy się ani jednem słowem do swej sąsiadki. Panna Gallmeyer również zachowując milczenie, nie mogła powstrzymać się, aby nie objawić mimiką swego zdziwienia. Zniecierpliwiona nareszcie półgodzinnem obopólnem milczeniem, zawołała nagle:

— A panie artysto, może teraz zaczniemy o innym przedmiocie mówić!

Makart podniósł oczy, uśmiechnął się i znów pogrążył się w myślach swoich otwierając usta po to tylko, aby zasilić swój żołądek.

⁂ Rozmowa. Oto co się przytrafiło jednemu z naszych znajomych.

Pan Józef zaproszony na obiad do p. Fajbusiewiczów dzwoni; z przedpokoju odzywa się głos: „kto tam!“

Pan Józef. To ja.

Głos. Kto to tam, kto to tam!

Pan Józef (słodko). To ja.

Głos. Kto to tam, kto to tam!

Pan Józef (składa wyjaśnienia). Głodnicki, przyszedłem na obiad a moja ciocia później przyjdzie.

Głos. Kto to tam!

Nadchodzi lokaj, drzwi uchyla i pan Józef przekonywa się, że rozmawiał z papugą.

RÓŻA Z TUOLUMNE.

Nowella

przez

BRET-HARTA.

Było blisko drugiej rano; żadne już światło nie jaśniało w salonach Robinsonów, gdzie wielki bal zgromadził był tego wieczora wyborowe towarzystwo z Four-Forks; po niebie płynął księżyc, posrebrzając pociemniałe okna. Już rozpierzchła się kawalkada, która na godzinę przedtem swemi piosnkami i śmiechem mąciła ciszę leśną melancholijnych świerków. Jeden z zakochanych w pięknej Jenny, która była gwiazdą balu, puścił się galopem w kierunku zachodnim, inny w północnym, inny na wschód, inny wreszcie na południe, i przedmiot ich miłości, z galanteryą odprowadzony do swego domu w Chemisal-Ridge, zabierał się do spoczynku. Dwa krzesła przy łóżku zniknęły już pod stosami materyi lekkiej i białej, a sama miss Jenny, nawpół odkryta rozplecionymi warkoczami koloru żyta, tylko co założyła to długie i zdobne ubranie nocne, które wszystkie kobiety czyni podobnemi do siebie: krągłe ramiona, wysmukła kibić, która na godzinę przedtem szerzyła takie zniszczenie w nogach elegantów kalifornijskich, znikły teraz, ale z draperyi, o której mowa, wychodził z jednej strony najszlachetniejszy profil, z drugiej nogi, któreby mogły służyć za model dla rzeźbiarza, jakkolwiek bynajmniej nie były małe. „W ogóle kwiaty nie podnoszą głów i nie oglądają się za mną, gdy przejdę po nich,“ powiedziała raz ze zwykłą sobie otwartością do jednego ze swoich wielbicieli.

Twarz „Róży z Tuolumne“ wyrażała w tej chwili spokojne zadowolenie. Podeszła ku oknu powoli, nieznacznie odsunęła firankę i rzuciła okiem na drogę. Jeździec jakiś przed domem siedział nieruchomie na koniu, widocznie zatopiony w marzeniach, które znają zakochani. Widocznie Róża nie była zakochaną, bo ruszyła ramionami mówiąc głośno do siebie: „Doprawdy, to już bardzo śmieszne!“ Wróciła do swej toalety krokiem pewnym i śmiałym, nic nie okazując tego zakłopotania, którego doznają osoby, którym się czasem zdarzy stąpać boso. W istocie nie od dawna była przyzwyczajoną do trzewików; byłaby bardzo zdziwioną, gdyby jej kto o trzewikach mówił cztery lata temu, gdy wyskakiwała z wagonu emigracyjnego, który się zatrzymał w Chemisal-Ridge. Była to już wówczas duża dziewczyna w bluzie perkalowej.

Niektóre z jej dzikich narowów dotychczas upierały się kulturze.

Ktoś zapukał nieśmiało do drzwi. Róża podniosła się w łóżku i z brwią zmarszczoną zapytała:

— Kto tam?

Dał się słyszeć niezrozumiały szept w tonie przerażającym.

— Co, mój ojcze?.. czy to ty?

Nowe mruknięcie, tym razem potwierdzające, ale zawsze pokorne i nieśmiałe.

Róża wstała, odsunęła zasówkę, wróciła do łóżka i powiedziała:

— Możesz wejść.

Otworzyły się powoli drzwi, potem ukazały się w nich przygarbione plecy i posiwiała głowa człowieka, który musiał już minąć pięćdziesiątkę; następnie po ponownem wahaniu się wsunęły się do pokoju dwie duże stopy w pantoflach. Gdy już widmo stanęło w komplecie, widmo bojaźliwe i niepewne, jak to można było natychmiast poznać, wówczas łagodnie drzwi przymknęło i zdawało się nie wiedzieć, od czego rozpocząć rozmowę.

— Czegoż do licha chcesz o tej porze? — zapytała Róża niecierpliwie.

— Jużeś się położyła Jeny — powiedział p. Mac-Closky, patrząc z pewnym rodzajem dumy, a zarazem uszanowania na dwa krzesła i piętrzące się na nich stroje — jużeś się położyła i rozebrała?

— Jak widzisz.

— Bezwątwienia — odrzekł p. Mac-Closky, siadając na krawędzi łóżka i podsuwając pod siebie pięty, aby jak najmniej zajmować miejsca. Po pewnem milczeniu potarł sobie brodę, brodę krótką, gęstą i twardą, która przypominała szczotkę do czyszczenia butów i zapytał dalej:

— Bawiłaś się Jenny?

— Tak, mój ojcze.

— Byli tam i oni wszyscy?

— Tak, Ranoe i York, i Ryder i John.

— Ah! John! — Migające oczko p. Mac-Closky usiłowało popatrzeć złośliwie a pytająco; atoli spotkawszy chłodny i spokojny wzrok córki, Mac-Closky spuścił oczy.

— Tak, był i John — powiedziała Jenny bez najmniejszego rumieńca dziewiczego, gdy przeciwnie Mac-Closky zaczerwienił się po uszy — i on mię tu odprowadził.

Zamilkła, położywszy głowę na skrzyżowanych rękach i szukając wygodniejszej pozycyi na poduszce.

— Pytał mię raz jeszcze o to samo, mój ojcze i powiedziałam: dobrze. Zdaje się, że wszystko jest jak najlepiej, nieprawdaż?

To mówiąc, poprawiła nogą kołdrę. Mac-Closky zdawał się znów być pogrążony w najgłębszych rozmyślaniach.

— Bezwątpienia — powiedział wychodząc z zadumy. A po minucie dodał: — Czy nie mogłabyś zejść na dół w tych sukniach, gdybym cię o to poprosił?

I Mac-Closky znów spojrzał na dwa krzesła i potarł niespokojnie podbródek.

— Co za myśl!

— Niekoniecznie we wszystkich, nie trzeba brać wszystkich, a tylko niezbędne. Widzisz, Jenny — dodał męcząc ciągle brodę z jednej strony wytartą wskutek tego nieszczęśliwego przyzwyczajenia — Jenny — drugą ręką gładził kołdrę — oto, o co chodzi: jest tam na dole pewien nieznajomy, to jest nieznajomy dla ciebie, moja droga, ale ja go znam od dawna. Przybył tu wieczorem po twoim odjeździe i czeka do godziny czwartej na dyliżans. Chcę cię prosić moja córko, abyś zeszła i pomogła mi go bawić.

— A czyż...

— Zgaduję, co chcesz mi powiedzieć — przerwał ojciec podnosząc rękę, jakby dla odparcia jej słów — ale to daremne, nie można sobie dać rady z tym chłopcem. Nie chce grać w karty, whisky nie robi nań wrażenia. Zawsze go takim widziałem: niezdolny ani pić ani grać, a zatem uciążliwszy dla mego otoczenia.

— A więc po cóż go tu ciągniesz — zapytała Jenny z niezadowoleniem.

Niespokojne oczy pana Mac-Closky ukryły się pod powiekami — Cóż chcesz, zboczył z drogi aby mi wyświadczyć przysługę, a jak wiesz, nie bywa tu często; inaczej nie pozwoliłbym sobie fatygować ciebie. A ponieważ nic z nim nie mogłem zrobić, więc pomyślałem sobie, że ty sobie z nim dasz rady, jak dałaś z tylu innymi.

Miss Jenny wzruszyła ramionami. — Młody jest?

— Stary nie jest, ale wie więcej niż wielu starych.

— Czem się zajmuje?

— Nie wielkiemi rzeczami. Ma pieniądze w młynie Four-Forks, wiele podróżuje, pisze.... wiersze, jak powiadają; może denizy....

Mac-Closky sądził, że sprawi przyjemność córce, robiąc alluzyę do pewnych papierków cukierkowych, równie słodkich jak treść w nich zawarta, które jej często ofiarowywano. Ale odpowiedziała na to wzgardliwą minką; dla rojeń wyobraźni czuła pogardę, którą się odznaczają młode zwierzęta ludzkie cieszące się dobrem zdrowiem.

— Jednakże, nie radzę ci mówić mu o jego poezyach. Może dwadzieścia minut temu, chcąc mu zrobić przyjemność, nakręciłem harmonikę, postawiłem przed nim flaszkę likieru i powiedziałem: „Teraz, kolego, bądź jak u siebie w domu, i wygłoś mi to, co uważasz za swoje najznakomitsze dzieło.“ Myślałem, że się wścieknie!...

— Dobrze, zejdę, mój ojcze — powiedziała Jenny po pewnym namyśle.

Twarz p. Mac-Closky rozpromieniła się.

— Byłaś zawsze dobrą córką — powiedział schylając kolano, aby złożyć pocałunek na jej czole.

Jenny schwyciła go za ręce i trzymała jakiś czas w uwięzi pod badawczym wzrokiem swoich pięknych ciemno-szarych, lecz przezroczystych oczu.

— Ojcze — powiedziała — wszystkie dziewczęta, które były wczoraj wieczór u Robinsonów miały kogoś, kto im towarzyszył, matkę, siostrę starszą, ciotkę, wszystkie oprócz mnie.....

Warga jej nieco drżała, pochyliła głowę. — Mój dobry ojcze, gdyby też mama nie była odumarła mię w dzieciństwie.... — Głos jej zagasł w przytłumionem łkaniu.

Tymczasem p. Mac-Closky zdawał się być bardzo zajęty rysowaniem fantastycznych deseni na łóżku. — Nie ma dziewczyny na świecie, któraby nie oddała ojca i matki, ażeby tylko być na twojem miejscu. Co się tyczy matki w szczególności, to pozwól sobie powiedzieć, moja kochana, że może ci lepiej jest bez niej.

Podniósł się nagle i ruszył ku drzwiom. We drzwiach obrócił się, uśmiechnął i zniknął, głowę naprzód za drzwi wynosząc.

Gdy Mac-Closky wrócił do salonu już gościa nie było tam. Flaszka likieru pozostała nie tknięta na stole, dwie czy trzy książki walały się po podłodze, paczka fotografii, przedstawiających najgłówniejsze widoki sierrów rozsypaną była na sofie, jakiś dziennik i kołdra meksykańska rzucone były na ziemię i wskazywały, że próbowano czytać w poziomem położeniu. Wielkie drzwi szklanne stały otworem; tędy zbieg ujść musiał. P. Mac-Closky westchnął rozpaczliwie, spojrzał na wspaniały dywan, który kosztował w Loeremento bajeczną cenę, na meble pokryte karmazynowym atłasem, na wszystkie bogactwa, które równych nie miały w annalach Tuolumne, a wszystkich zwiedzających przejmowały niemal bojaźliwem uszanowaniem. Tym razem nie wywarły żadnego skutku; tyle nagromadzonego zbytku nie mogło zatrzymać niepoškromionego człowieka, który przechadzał się właśnie po drodze oblanej najpiękniejszem światłem księżyca i palił cygaro. Nie wiadomo było, czy Jenny potrafi go lepiej uwięzić.

— Założę się, że da sobie z nim rady — powiedział do siebie Mac-Closky z ufnością prawdziwie ojcowską.

Wyszedł na werandę i śledził oczyma przechadzającego się; ale ten spostrzegł go natychmiast, zbliżył się i stanął na kilka kroków przed nim.

— Jakto? znów tu jesteś? — zawołał z przesadą w gniewie dość komiczną. — Nie położyłeś się? Czyż cię nie prosiłem, żebyś mi dał pokój? W imię wszystkiego, co jest głupie, czemu wreszcie nie przestaniesz w koło mnie krążyć? Dyliżans przechodzić będzie dopiero za półtory godziny, czyż sądzisz, że cię będę znosił do tego czasu? No cóż! odpowiadaj! czy może spisz? Może prócz innych słabości jeszcze jesteś i lunatykiem, co?... Napad nerwowego kaszlu zakończył tę dziwną apostrofę.

Gość pana Mac-Closky, mówiąc te słowa, zbliżył się do niego; na wpół siedząc, na wpół oparty o werandę zwrócił ku swemu staremu przyjacielowi twarz, w której śmiech i zły humor walczyły z sobą. Była to twarz przyjemna, zmęczona już życiem; usta, drgające przy najmniejszem wzruszeniu, miały zwyczajnie wzgardliwy wyraz, ale czoło otwarte było siedliskiem wyobraźni i szczerości, gdy w czarnych świecących oczach igrała złośliwa wesołość.

— No, Ridgeway, nie gniewaj się, — powiedział Mac-Closky ze swoją niewzruszoną słodyczą — szedłem spać, gdy Jenny powróciła z wesela; ponieważ nie chciało się jej spać, więc sądziłem, że możemy razem w troje ten czas spędzić.

— Bezczelny kłamco! — odparł Ridgeway; — osoba o której mówisz, wróciła jeszcze przed godziną; za dowód może służyć ten ktoś w rodzaju dzikiego, który ją tu eskortował i od tego czasu krąży dokoła domu Wyrwałeś ją z łóżka, aby módz mi naprzykrzyć się po swojemu! Cóż to za dziewczyna?

— To córka Nancy.

— Twojej żony?

— Cicho — szepnął Mac-Closky, kładąc rękę drżącą na ramieniu Ridgewaya, cicho! Jenny myśli, że jej matka umarła... umarła w Missouri. Pamiętaj to sobie.

Ridgeway skrzyżował ręce z oburzenia.

— Więc chcesz przez to powiedzieć, że ukryłeś przed nią historyą, która każdej chwili z kąd inąd może dojść do niej, że nie dałeś jej wiedzieć tego, co znać powinna?.. Dziś umiałaby się zastosować do tego, gdy tymczasem ty przez swoje milczenie kujesz własnemi rękami broń, którą ktokolwiek może ją zranić niespodzianie dziś, jutro, kto może wiedzieć kiedy?... To głupio!

Kaszel znów porwał Ridgewaya i aż łzy stanęły mu w oczach, gdy tymczasem Mac-Closky z lekka tarł sobie brodę.

— No — powiedział wrzszcie ten ostatni — ale za to może tak wysoko podnosić głowę, jak ktokolwiek inny, a od dziś za miesiąc, mój drogi, poślubi najbogatszego chłopca w hrabstwie, i najdumniejszego. John Ashe nie jest człowiekiem, któryby zniósł, aby ktokolwiek złego powiedziano o jego żonie, lub o kimkolwiek z jej bliskich, a za tem.. Dość tego! słyszę jej kroki na schodach, już idzie!

Rozsunięte firanki drzwi szklannych nie mogły nic piękniejszego ująć w swoje ramy od tej świeżej i promieniejącej postaci. Ubrała się pospiesznie ale z wrodzonym gustem kobiety, która wie, co stanowi jej piękność. Mac-Closky przedstawił młodą parę wzajem sobie, przedstawił krótko i bez wielkich ceregielów. Przypuszczam, że Ridgeway, wyszedłszy z pierwszego olśnienia, rozmawiał z wielką przyjemnością; dziwnem mu się jednak zdawało, że się znalazł o godzinie drugiej rano obok tej dziewczyny, pysznej jak marmurowa bogini, a zarazem naiwnej jak Małgorzata Goethego. Co się tyczy miss Jenny, która od dzieciństwa nie dostrzegała w mężczyznach innej wyższości, jak siła fizyczna, miss Jenny była z początku nieco zdziwioną, niemal przestraszoną tą nową potęgą intellektualną, ukrytą w powłoce delikatnej, prawie wątłej, ale zresztą pełnej elegancyi i sympatycznej. Ale prędko zapał ją ogarnął i gotowa była chętnie rzucić do nóg swego nowego bożyszcza mniej szlachetne fetysze przeszłości. Jest to postępowanie właściwe jej płci. Kult jej dla rozumu zeszedł tak daleko, że z niewysłowionem uniesieniem, pomimo iż nieproszona, wyspowiadała się przed tą wyższą istotą, myślącą, zgadującą, umiejącą rozumieć. W pół godziny potem Ridgeway znał wszystkie ważniejsze wypadki, wszystkie tajemnice jej życia, a nawet wszystkie sny — z wyjątkiem jednego.

Mac-Closky, spostrzegłszy, że młoda para jest w jak najprzyjaźniejszem i jak najrozmowniejszem usposobieniu, spokojnie poszedł spać. Była to czarowna chwila; dla miss Jenny rozmowa miała urok nowości; oddawała się jej zatem z większą naiwnością, niż towarzysz, który rozumie się lepiej wiedział o nieuniknionych następstwach podobnej sytuacyi. Ridgeway, ręczę za to, nie miał wcale zamiaru umizgać się do niej; zdawało mu się, że kocha gdzieindziej, i wyrzucałby sobie najmniejszą zdradę; ale jak prawie wszyscy poeci był wierniejszym w zasadzie, niżeli w czynie. Nader wybujałe pojęcie o doskonałości kobiecej łączyło się w nim z ognistym temperamentem, który pozwalał mu upatrywać swój ideał w każdej nowej postaci; nie wykluczało to zadziwiającej świeżości wrażeń, tysiąc razy niebezpieczniejszej od galanteryi zwykłego eleganta.

Ta nieśmiertelna dziewiczość serca zjednywała dlań najlepsze z kobiet, pociągane ku niemu instynktem jakby macierzyńskiej opieki. Nie dać zbłąkać się tej pięknej duszy, oto była i wymówka tych szlachetnych ofiar. Jenny bez wątpienia doznała tego nieuniknionego wpływu, gdy ofiarowała się przeprowadzić go aż do rozstajnej drogi, którędy przechodził dyliżans. Noc była magicznie piękną. Czyż można się dziwić, że szli powoli po drodze posrebrzonej księżycem? Z żalem wchodzili na mały wzgórek, na szczycie którego mieli się rozstać, i przybywszy wreszcie do ostatniego punktu, nie mieli siły przemówić do siebie słowa. Byli sami. Żadnego szmeru, żadnego tchnienia nawet, ani na dole ani na niebiosach; wolno im było myśleć, że są jedyną parą na świecie, dla której stworzone zostały te wszystkie blaski i przepychy nieba i ziemi. Widząc to, zwrócili się ku sobie, popchnięci instynktem nagłym, nieodpartym, ich ręce złączyły się, a potem ich usta w długim pocałunku.

Z tajemniczego oddalenia dał się słyszeć zmięszany szmer głosów ludzkich, kół i koni; Jenny drgnęła i jak promień księżyca prześliznęła się między drzewami.

Wkrótce potem była już w domu, przeszła koło ojca śpiącego na werandzie, nie zatrzymawszy się przy nim, skoczyła do swego pokoju, i zamknęła drzwi na klucz. Wówczas otworzywszy okno, rzuciła się nagle na kolana, na złożonych dłoniach oparła twarz rozpaloną i nadstawiła ucha.

Podkowy końskie zatętniły po drodze kamiennej, ale był to jakiś przejezdny, którego ciemna sylwetka znikła w cieniach drogi poprzecznej. Jenny nie poznała tego jezdca; oczy jej otwarte były zupełnie na co innego. To czego oczekiwały, przybyło z kolei z migotaniem latarni, z brzękiem dzwoneczków, z miarowym turkotem, z którym w takt zaczęło bić jej serce. Potem opanowało ją uczucie wielkiego osamotnienia. Gwiazdy bladły powoli, podobnie jak jej jagody, i wciąż oczyma, które nic w koło siebie nie widziały, śledziła machinalnie budzenie się zorzy.

Fioletowe barwy zamieniły się w purpurę, potem purpura rozpłynęła się w różowy kolor, który połyskał z początku srebrem, następnie złotem. Płotek ogrodowy już był widzialny. Cóż tam się ruszało pod nim? Jenny spojrzała niespokojnie. Spostrzegła człowieka, który starał się przejść przez ogrodzenie i za każdem usiłowaniem upadał. Nagle zerwała się; zdawało się, że różowość jutrzenki udzieliła się jej czołu, jej twarzy, nawet ramionom, ażeby potem uczynić ją tak białą, jak mur, o który się oparła. Przez chwilę zostawała nieruchomą; potem jednym skokiem rzuciła się naprzód z włosami na wiatr rozwianemi. Przybiegłszy do ogrodzenia wydała krzyk, był to pierwszy krzyk tygrysicy nad zamordowanym owocem swego łona i za chwilę już klęczała przy Ridgewayu, trzymając na swojem łonie śmiertelnie bladą głowę umierającego młodzieńca.

— Nieszczęśliwy! nieszczęśliwy! Co ci się stało?

Odchyliła ubranie jego zwalane pyłem; koszula była rozwarta, chustka krwią namoczona wypadła ztamtąd; ta krew, której nie mógł zatamować, płynęła z szerokiej rany poniżej ramienia.

— Ridgeway... mój biedny przyjacielu... powiedz... kto to zrobił?

Ranny powoli podniósł ociężałe powieki. Popatrzał na nią i cień uśmiechu przeszedł przez jego usta, gdy wyszeptał: — To twój pocałunek, Jenny!.. Mniejsza o to... — I pobladłe usta przycisnął do ręki, którą go podtrzymywała — mniejsza o to... wart był swojej ceny...

Po tym wysiłku stracił przytomność. Jenny oczyma w koło siebie szukała ratunku; poczuła w sobie nadludzką energię; podniosła martwe ciało i wzięła je, jak dziecię, w silne swoje ramiona i gdy jej ojciec nagle się zbudził na to, to ujrzał przed sobą jakby boginię, która wyprostowana i tryumfująca szła z zakrwawionym ciężarem do domu. Na stanowczy rozkaz tej bohaterki roztworzył prędko wszystkie podwoje; ale gdy omdlały człowiek znalazł się na sofie, to bohaterka znikła i była już tylko rozpaczająca kobieta, która wciąż wołając, że go zabiła, że go zamordowała, że jest nędznicą, potworem, upadła i sama obok sofy. (Dok nast.)

SPROSTOWANIE.

W Nr. 58. na stronie 351 w tomie 2-gim zaszedł błąd drukarski. Wydrukowano: *Socyalizm jako komiczny objaw dziejowego rozwoju* powinno być: *Socyalizm jako konieczny objaw dziejowego rozwoju.*

Treść Nr. 59.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.